ŚWIAT



Nr. 44. DNIA 29 PAŹDZIERNIKA 1932 ROKU

azimierz Junosza-Stępowski w roli cara Iwana Groźnego (Teatr Narodowy w Warszawie)

Fot. St. Brzozowski

TREŚĆ:

HUMOR ZAGRANICZNY



— Mówią, że ze sportu się chudnie, a ja tyję coraz bardziej.
— A jaki sport pan uprawia?
— Zbieram marki pocztowe!

ŚWIAT
PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 29-go PAŹDZIERNIKA 1932 ROKU
ROK XXVII • NR. 44 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Na dzień 31 października

Istnieją dwie równorzędne teorje ekonomiczne wzmożenia dobrobytu społecznego: jedna domaga się ograniczania w wydatkach i gromadzenia oszczędności, jako podstawy bogactwa narodowego, druga propaguje szybkie wydawanie zarobionych pieniędzy, aby wzmóc obrót gospodarczy i wielką konsumcją podtrzymywać wielką produkcję.

Obie na swe poparcie rozporządzają niezliczoną ilością argumentów, zaczerpniętych z historji i ze stosunków teraźniejszych; nie sposób też orzec, która ma absolutną słuszność. Natomiast, rezygnując z abstrakcyjnych rozstrzygnięć, można z większą łatwością wskazać, która z dwóch nauk korzystniejsza jest w określonych warunkach czasu i miejsca.

Propaganda za podniesieniem spożycia powoduje wzmożony popyt na rynku towarowym, popiera produkcję, zatrudnia bezrobotnych, robi ich z kolei konsumentami, podnosi ogólny poziom stopy życiowej, stwarza podatny grunt dla rozwoju kulturalnego, czyni społeczeństwo bogatszem i szczęśliwszem. Ale do tak pomyślnego funkcjonowania machiny gospodarczej trzeba, aby wszystko szło równomiernie, gładko, planowo. Niechaj gdzieś zdarzy się omyłka w obliczeniu; niech się okaże, że wytwórczość poszła zbyt szybko, wzięła chwilowo wzmożone zapotrzebowanie za stałe zjawisko — wnet następują perturbacje, których skutki obejmują coraz szersze kręgi, aż wywołują krach i kryzys.

Któż go zdoła przetrzymać? Tylko ten, co zgromadził zapasy „na czarną godzinę", kto nie wydawał wszystkiego, lecz oszczędzał, kto wreszcie nawykł do odmawiania sobie różnych rzeczy, kto potrafi zacisnąć pasa, nie wpada odrazu z powodu odczuwanych braków w depresję duchową i w rozpacz.

Na tej większej wytrwałości psychicznej i na możności przetrwania ekonomicznie złych czasów polega wyższość człowieka oszczędzającego nad wydającym bez reszty.

Ta indywidualna przewaga nabiera olbrzymiego znaczenia w skali państwowej. Narody posiadające oszczędności, czyli kapitały, inny mają głos na arenie świata od narodów wszystko przejadających i nie mogących wykazać się jakiemi takiemi zasobami.

Do tych, niestety, należy Polska. Wskutek nieszczęśliwych okoliczności dziejowych nie zdołaliśmy dotychczas stać się narodem — kapitalistą. Weszliśmy późno w okres gospodarki pieniężnej, gdy już nie posiadaliśmy własnego państwa i nie mogliśmy zaprząc polityki w służbę ekonomji narodowej. Przeciwnie, staliśmy się komórką obcych organizmów gospodarczych, przez nie wyzyskiwaną i upośledzoną. W ciężkiej walce obronnej zaczął pierwszy sposobić się do nowoczesnego życia gospodarczego zabór pruski; Królestwo Polskie, skierowane na tę drogę mocną ręką Lubeckiego, powstrzymane było w rozwoju klęskami politycznemi i dopiero pod koniec XIX wieku, sprzęgając się z wielkiemi obszarami Rosji, ku szkodzie samowiedzy narodowej, jęło nadrabiać utracony czas; zabór austrjacki, najhojniej uposażony w bogactwa naturalne, najpóźniej wszedł na drogę uprzemysłowienia.

Byliśmy więc w początkowem stadjum kapitalizmu, gdy wybuchła wojna wszechświatowa, rozgrywająca się na naszem terytorjum.

Proces kapitalizacji przerwano w zaczątku. Rosjanie wywieźli nasze oszczędności, złożone po kasach pożyczkowo - oszczędnościowych i po bankach, mających centrale w Petersburgu; ludność Galicji straciła oszczędności, ulokowane w państwowych pożyczkach austrjackich; potem nastąpiła inflacja i spadek marki polskiej, niszcząc zaufanie do pieniędzy i papierów wartościowych własnego państwa i ucząc ludność jaknajszybszego wyzbywania się znaków obiegowych, deprecjonujących się na oczach.

Wprawdzie zmysł przezorności powołał do życia inne formy odkładania na przyszłość: lokowano oszczędności w złocie, w brylantach, w obrazach, w nieruchomościach różnego rodzaju, — ale to właśnie zjawisko, zwane tezauryzacją, przynosi gospodarstwu narodowemu wielką szkodę — wycofuje jego środki materjalne z obiegu, unieruchamia je, czyni bezużytecznemi. Gorzej jeszcze, gdy tezauryzacja odbywa się w dolarach lub innych obcych walutach. Jest to udzielaniem przez biedną Polskę bezprocentowych pożyczek bogatym państwom, które od nas pobierają lichwiarskie odsetki za krótkoterminowy nawet kredyt. W ten sposób słaby organizm gospodarczy polski wycieńcza się przez stopniowy upływ krwi i przez powstawanie w nim skrzepów, z któremi doskonale da się porównać tezauryzację.

To zło może nas więcej jeszcze gnębi od przysłowiowej polskiej rozrzutności i lekkomyślności, pocieszającej się tradycyjnem: „jakoś tam będzie". Manją życia nad stan, w myśl staropolskiej maksymy: „zastaw się, a postaw się", dotknięte są tylko wyższe — poszlacheckie warstwy narodu; chłop polski natomiast jest ciułaczem, wyznawcą przysłowia: „ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka". Odkłada on skrzętnie grosze, wymienia je na srebrne złotówki, złote ruble i papierki dolarowe; chowa to pod strzechą, za piecem, w sienniku, wynajduje najróżniejsze na nie skrytki, — i marnuje wartość tak cennej dla społeczeństwa cnoty oszczędności, a w połowie wypadków sam traci z trudem gromadzony w ten sposób kapitał wskutek pożaru, kradzieży, lub zniszczenia z jakiegoś innego nie dającego się przewidzieć powodu.

Nauczenie wieśniaków korzystania z instytucji, przeznaczonych do zbierania oszczędności, ma równie wielkie znaczenie, jak wdrożenie mieszczaństwa polskiego do odkładania części swych zarobków i przestrzegania takiego budżetu domowego, w którym rozchody byłyby niższe od dochodów.

Niestety, wydawanie ponad możność uważa się u nas za oznakę dobrego tonu i wyższej kultury. Utracjusz mile jest wszędzie widziany; podziwia się szerokość jego gestu, fantazję, zalety towarzyskie. Oszczędność natomiast nie cieszy się sympatją i jest utożsamiana ze sknerstwem.

Zresztą nie wychowuje się społeczeństwa w myśl zasady, że rozchód ma żyć z dochodem w zgodzie. Według oficjalnych enuncjacji rząd po raz już drugi opracował budżet deficytowy i zgłasza go do Sejmu z niedoborem 360 miljonów, czyli prawie 15-stoprocentowym. Literatura polska ostatnich czasów idealizuje „ludzi bezdomnych", proletarjuszy ze stwardniałemi czy z delikatnemi rękami, beztroskich zapaleńców, noszących głowę w obłokach, a nogami brnących po wertepach i błocie. Nikogo nie darzy się tak głęboką pogardą, jak dorobkiewiczów, chociażby ciężką pracą i oszczędnością doszli do majątku. Dbamy jedynie o kulturę duchową, o wyższe wykształcenie, oczytanie i obycie. Istotnie, pod tym względem nie ustępujemy najpierwszym narodom świata. Posiadamy wielkich poetów i romansopisarzy, znakomitych muzyków, malarzy i aktorów; teatr polski stoi bardzo wysoko; nauka polska dotrzymuje kroku zachodnioeuropejskiej.

Natomiast nasza kultura materjalna przedstawia się rozpaczliwie; stan naszych miast i miasteczek, mieszkań miejskich i chat wiejskich, hoteli, dróg i rzek nie wyszedł jeszcze poza XVIII wiek, z wyłączeniem, oczywiście, b. zaboru pruskiego. Na każdym kroku słyszy się wyrzekania, że brak nam kapitałów na najpotrzebniejsze urządzenia.

Skąd je wziąć? Inne narody zgromadziły kapitały rabunkiem, eksploatacją kolonji, wielowiekową własną pracą i oszczędnością. Dziś pozostaje nam tylko ta ostatnia droga.

Weszliśmy na nią przed wojną i w niedługim stosunkowo czasie, w niesprzyjających okolicznościach, mogliśmy się poszczycić pewnym rezultatem. W roku 1914 mieliśmy w trzech zaborach przeszło 3 miljardy fr. zł. oszczędności, przyczem na głowę ludności wypadało: w zaborze pruskim — 278 fr. zł., austrjackim — 120, w rosyjskim — 72 fr. zł. Obecnie suma naszych oszczędności nie dosięga nawet połowy cyfry przedwojennej, a na jednego mieszkańca wypada zaledwie około 40 zł.

Jest to cyfra bardzo mała. Jedno nas tylko pociesza. Całkowicie zniszczone przez wojnę i inflację oszczędności polskie zaczynają się odradzać. Z roku na rok liczby są większe, jak to widać na zamieszczonej obok tabeli wkładów do P. K. O. W roku bieżącym przekroczyły już 400 miljonów — w tej jednej instytucji. Wprawdzie jest ona najważniejszą zbiornicą naszych oszczędności i największe położyła zasługi w procesie kapitalizacji polskiej, jednak nie należy też zapominać o innych poważnych instytucjach, ściągających oszczędności z całego terytorjum państwowego, jak komunalne kasy oszczędności, spółdzielnie kredytowe, banki.

Połączone ich wysiłki robią swoje. Ruch oszczędnościowy wzrasta, ale absolutnie cyfry naszych oszczędności, naszych rodzimych kapitałów są wciąż mikroskopijne w porównaniu z innemi państwami, znacznie nawet mniejszemi terytorjalnie i ludnościowo.

Najważniejszym tedy nakazem narodowym musi być dla nas: Oszczędzaj!

Nie jest to w naszych warunkach nudne moralizatorstwo, nawoływanie do ascezy i wyzbycia się radości życia. Jest to dziś najaktualniejsze hasło patrjotyczne.

Odzyskaliśmy byt niepodległy. Zdołaliśmy rozszarpany naród prawie w całości zjednoczyć w granicach państwowych. Nadaliśmy sobie najlepszy ustrój: republikański, parlamentarny, demokratyczny. Nie potrzebujemy prowadzić ani zdobywczej polityki zewnętrznej, ani wojny domowej.

Jednego nam brak, jako społeczeństwu i państwu: — kapitału. Podniósłby on dobrobyt ludności, przyczynił się do potęgi państwa Tylko przez kapitalizację dojdziemy do mocarstwowości. Tylko oszczędnością zbierzemy kapitały.

O tem najważniejszem, bieżącem zadaniu powinniśmy pamiętać zawsze, na codzień. Pod tem hasłem musimy wystąpić w dniu 31 października, który został obrany na doroczną międzynarodową propagandę oszczędności.

Br. Żarski

dzień oszczędności

31/X

to dzień sprawdzenia wyników pracy i rozumnej gospodarki

wzrost wkładów oszczędnościowych w

PKO



TO NAJLEPSZE ŚWIADECTWO PEWNOŚCI I ZAUFANIA. WSZYSTKIE URZĘDY POCZTOWE SĄ ZBIORNICAMI P. K.O.



BRUK ULICZNY ZOSTAŁ ZERWANY I PODPALONY

ROZRUCHY W BELFAŚCIE

Belfast, stolica Ulsteru, północnej protestanckiej części wyspy Irlandzkiej, jest jednem z najbrzydszych i najsmutniejszych miast na kuli ziemskiej. Przed kilkunastu dniami zdobyło ono nadto sławę najburzliwszego miasta W. Brytanji, która od pewnego czasu stała się terenem poważnych rozruchów bezrobotnych, w szkockiem Glasgow, w angielskich Manchester'ze i Liverpool'u, w londyńskim West Ham'ie.

Rozruchy w Belfast, których ofiarą padło 10 zabitych i kilkunastu rannych w całodziennej bitwie barykadowej tłumu z policją, są znamiennym objawem przemian, zachodzących w strukturze politycznej i społecznej W. Brytanji.

Ulster, którego stolicą jest Belfast, nie chciał, jak wiadomo, stać się częścią składową Wolnego Państwa Irlandji. Protestanci oranżyści Ulsteru z bronią w ręku gotowi byli walczyć przeciwko połączeniu z katolikami Południa. Po utworzeniu Wolnego Państwa, Ulster pozostał przy Zjednoczonem Królestwie. Wysyła posłów do parlamentu brytyjskiego, nie chce mieć nic wspólnego z Eiren'em, jak zwie się Irlandja w języku „gaelic".

Przepaść nie do przebycia dzieliła „oranżystów" i „papistów" w samem mieście Belfaście. Na ulicy, zamieszkałej przez ociężałych, o grubych rysach protestantów, rudowłosy, o nerwowej twarzy katolik z Południa nie śmiał się nawet pokazać. I jednocześnie mowy nie było, aby protestant mógł zamieszkać w dzielnicy katolickiej. Trwające od 250 lat bójki między dwoma odłamami ludności nie ustały w XX wieku. Owszem, wzmogły się po utworzeniu Wolnego Państwa, które pogardliwem okiem zerkało na Północ.

Ostatnie lata kryzysowe ciężko dotknęły Belfast i jego wielkie stocznie, znane na cały świat. A trwająca od kilku tygodni wojna celna między Anglją a Irlandją, spowodowana republikańską polityką de Valery, ostatecznie dobiła przemysłowy Ulster, który narówni z całą W. Brytanją i bardziej od innych dzielnic ucierpiał z powodu zamknięcia granicy Wolnego Państwa.

Bezrobocie rosło, zapomogi malały, nędza stawała się coraz nieznośniejsza. Nędzarze-protestanci i nędzarze-katolicy połączyli się wreszcie we wspólnym proteście przeciwko istniejącym warunkom bytu. Temperament i zapał, który w ciągu 250 lat wyładowywali we wzajemnych bójkach, wyładowali w rozruchach przeciwko władzom Ulsteru. *js.*



W DZIELNICY ROBOTNICZEJ POCZĘTO WZNOSIĆ BARYKADY

ŚWIĘTO PUŁASKIEGO W AMERYCE



Dnia 11 b. m. pod pomnikiem Kazimierza Pułaskiego w Waszyngtonie zebrały się tłumy publiczności dla uczczenia bohatera walk o Niepodległość Stanów Zjednoczonych. Złożono wiele wieńców i wygłoszono kilka przemówień.

Od ministerstwa do wydziału

Kończymy dzisiaj cykl artykułów, poświęconych opiece państwa nad sztuką i kulturą. — Wzbudziły one wiele dyskusji w naszych sferach artystycznych. Wśród różnych opinji znalazły się też głosy niezadowolonych. — Nie rościmy sobie pretensji do nieomylności we wszystkich sądach. Sprawa jest zbyt ważna, aby ją zakończyć na jednostronnej ocenie. Dlatego już w następnym numerze zamieścimy list jednego z zainteresowanych, ujmujący zagadnienia te nieco inaczej, oraz zbiorowy protest grupy osób z Lublina.

IV.

Niewesołą spuściznę odziedziczył p. Zawistowski.

Obejmując szefostwo Wydziału Sztuki, p. Zawistowski od samego początku nie zdawał się łudzić, aby na tem stanowisku mógł przeprowadzić jakiś szerszy program.

Wrażenie to podkreślała okoliczność, że p. Zawistowski nie zaniechał swojej dotychczasowej pracy redaktorskiej, nie przestał być kierownikiem „Tygodnika Ilustrowanego".

Inni urzędnicy zresztą również traktują swoje zajęcia biurowe jako poboczne, cały wydział przekształcił się poniekąd w jakiś amatorski urząd.

Więc nprz. jeden z urzędników jest współwłaścicielem i dyrektorem szkoły prywatnej, która jednocześnie podlega mu, jako naczelnej władzy nadzorczej z ramienia państwa.

Zdarza się również w Wydziale Sztuki, że urzędnicy w poszukiwaniu zarobków dodatkowych stają do konkursów, w których sędziami są ich podwładni i zostają nagrodzeni przez tychże podwładnych kwotą parotysięczną.

Jest to jedyny chyba w swoim rodzaju wypadek nagradzania swojego własnego zwierzchnika przez podwładnych.

Moglibyśmy przytoczyć także przykłady unikania przez personel uciążliwej 7-godzinnej służby państwowej tych urzędników, których prawie nigdy zastać w biurze nie można, a którzy też traktują swe urzędowanie jako zajęcie uboczne.

Dzisiaj, gdyby nawet p. Zawistowski chciał opanować sytuację, jaka się wytworzyła, nie zdołałby tego zrobić; wszystko „rozeszło mu się w rękach". Zresztą natknąłby się prawdopodobnie na trudności w górze, której stan ten idzie na rękę; ułatwia prawdopodobną likwidację ostateczną tej komórki. Dzisiaj odnosi się wrażenie, że p. Zawistowski zdaje sobie jasno sprawę z położenia, w jakiem się znalazł. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby z każdym dniem stawał się coraz bardziej zniechęcony do pracy; — widząc jasno, że nawet ten minimalny programik, który posiadał, nie tyczący się zresztą zagadnień całej sztuki, a jedynie jednego działu literatury, że i ten zrealizowany nawet w części nie będzie.

Boć o Akademji literatury nic nie słychać; nawet w prasie ta sprawa zamarła; również nic nie słyszymy o ustawie bibljotecznej, która miała tak znacznie wpłynąć na nakłady wydawnictw naszych i podnieść dobrobyt rzeszy literackiej. Nie słyszymy również o opanowaniu przez Wydział, a przynajmniej wyrobieniu sobie dość poważnego wpływu na losy Funduszu Kultury Narodowej. Przeciwnie, coraz częściej dochodzą wiadomości o zamiarze odesłania całego działu stypendjów i subwencji z Wydziału Sztuki do Funduszu Kultury narodowej, wszystkich zaś spraw zabytkowych i teatralnych — do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Czy wersje te są uzasadnione, trudno sprawdzić, wiemy jednak, że bardzo poważne czynniki Ministerstwa W. R. i O. P. zajęte są opracowaniem jeszcze jednego projektu reorganizacji tego ministerstwa. Wypływa on jakoby z dążenia, aby Ministerstwo Oświaty było resortem czysto szkolnym.

Przyznajemy, że po przeczytaniu drukowanego sprawozdania z działalności placówki p. Michalskiego oczekiwaliśmy wręcz przeciwnej decyzji — przesunięcia agend Funduszu Kultury Narodowej do Ministerstwa Oświaty, by poddać dysponowanie tym funduszem jakiej takiej kontroli społecznej.



Dzisiaj fundusz ten podlega Komisji, na czele której stoi Głowa Państwa: tem samem znajduje się poza kontrolą i krytyką publiczną. W ten sposób przecina się możność dyskusji o rządach p. Stanisława Michalskiego i o wnioskach, jakie stawia Głowie Państwa do aprobaty.

Reasumując wszystko, cośmy powiedzieli, skonstatować musimy, że najzgubniejsze dla działu Sztuki było obsadzanie go ludźmi, którzy pozostawali dalej aktywnymi artystami, należącymi do pewnych koterji artystycznych.

Nie należy tego rozumieć, że wymagamy, by artyści-urzędnicy wpadali w drugą ostateczność i wyzbywali się oparcia w rzeszach artystycznych.

Jak jedno, tak i drugie postępowanie podcinało powagę tej instytucji i sprowadzało ją z charakteru ogólno-państwowego. A wielka szkoda, bo gdzież szukać choćby danych o ruchu kulturalnym w Polsce, gdzie się dowiedzieć, co się dzieje w twórczości rusińskiej, białoruskiej czy żydowskiej, jaki charakter przybiera ta twórczość i czy gdziekolwiek nasza kultura nie jest spychana z naczelnego stanowiska? A przedewszystkiem, gdzie się poinformować bezstronnie, jakie są potrzeby naszej kultury.

Szkoły kształcą dzieci; literatura, teatry, muzyka, malarstwo stanowią dalszy ciąg szkolenia obywateli, a jest to szkolenie już nie dziecinnych umysłów, lecz tych, którzy decydują o losach Państwa, którzy określają, do jakiej kultury chcą należeć, do jakiego narodu.

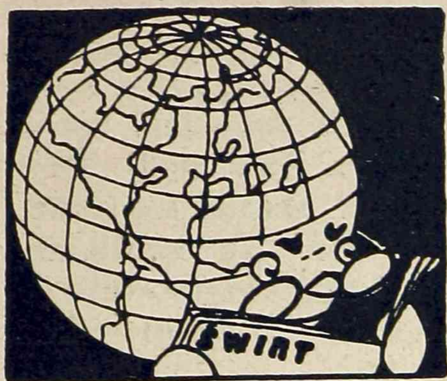
Z punktu widzenia interesu państwowego może to być nieraz stokroć ważniejsze szkolenie, niż uczenie czytania i pisania nieskrystalizowanych umysłów dzieci.

Czy opieka nad tą szkołą kultury ma wyłącznie przypaść policyjnej cenzurze i wydziałom bezpieczeństwa?

Jeśli aparat administracyjny, któremu przydzielono sztukę, dotąd szwankował, to winę ponosi nie sam aparat, lecz ludzie, którzy nim kierowali.

Tych ludzi trzeba starannie i umiejętnie dobierać. Ale nie należy kasować organu państwowego, w którym miały centralizować się wszystkie naczelne sprawy Kultury i Sztuki.

Z. Z. Z.



TYDZIEŃ ŚWIATA



KS. SYKSTUS BURBON DE PARMA

Nowy namiestnik w Gdańsku

(V.) Do Warszawy przybył p. Helmer Rosting, nowy Wysoki Komisarz Ligi Narodów w Gdańsku, świeżo mianowany na ostatniej sesji w Genewie.

P. Rosting jest duńczykiem i przez dłuższy czas prowadził referat spraw gdańskich w sekretarjacie Ligi, to też doskonale zna te sprawy i nie potrzebuje tracić czasu na wgłębianie się w kazuistyczne spory, wszczynane przez Wolne Miasto.

Ale uzyskał on mandat tylko tymczasowo — do następnego zgromadzenia, nie jest bowiem przedstawicielem wielkiego mocarstwa, nie posiada tytułu rodowego, ani osobistego majątku, aby mógł pretendować do reprezentowania przepojonej „nowoczesnym duchem demokratyzmu" instytucji genewskiej. Będzie więc musiał zapewne ustąpić wkrótce miejsca jakiemuś utytułowanemu dygnitarzowi, nie wiedzącemu właściwie, gdzie leży Gdańsk, ale posiadającemu wpływy i protekcję.

Zmarły hr. Gravina, który tak wydatnie przyczynił się do pogorszenia stosunków polsko-gdańskich, zawdzięczał swą nominację zarówno blizkim mu krwią czynnikom niemieckim, jak i poparciu polskiemu. Nasza dyplomacja pierwsza nawet wystąpiła z jego kandydaturą. Ówcześni kierownicy naszej polityki zagranicznej, p. minister Zaleski i p. redaktor Knoll, będąc w swoim czasie obaj kolejno posłami w Rzymie, tam poznali hr. Gravinę i usilnie zabiegali o jego nominację do Gdańska. Ten wnuk Ryszarda Wagnera i sympatyk hitlerowców ładnie się za to wywdzięczył...



HELMER ROSTING

Stopa procentowa i budżet

(Al.) Tydzień ubiegły przyniósł nam dwa ważne zdarzenia w dziedzinie finansowej: jedno pomyślne, drugie przykre.

Bank Polski obniżył stopę procentową z $7\frac{1}{2}$ do 6%. Jednocześnie obniżono maksymalną legalną wysokość odsetek pożyczek prywatnych z 15 do 12%. Są to doniosłe posunięcia celem potanienia kredytu w Polsce, którego drożyzna tamuje przedsiębiorczość, utrudnia eksport naszych towarów zagranicę i konsumcję wewnętrzną. Prywatne banki będą zmuszone do zniżenia stopy procentowej, co dobroczynnie wpłynie na całe życie gospodarcze.

Niekorzystne natomiast wrażenie wywarło ustalenie przez rząd budżetu na 2.088 mil. zł. w dochodach i 2.449 mil. zł. w wydatkach. Daje to aż 361 mil. niedoboru. Wprawdzie p. minister Zawadzki pociesza w „Gazecie Polskiej", że można go będzie częściowo pokryć z rezerw skarbowych, częściowo zmniejszyć dzięki odroczeniu spłaty długów zagranicznych, zniżce cen i t. p., ale przedłożenie parlamentowi budżetu deficytowego świadczy bądź co bądź, o niemożności zawarcia naszej gospodarki państwowej w ramy ścisłego planu i o puszczeniu jej na flukta przypadkowych decyzji i przewag.

Wykonywanie budżetu deficytowego — to właściwie gospodarka bezbudżetowa; rozstrzyga wówczas o wydatkach państwowych nie przedstawicielstwo narodu, lecz każdorazowy stan kasy i indywidualne uznanie ministra.

Kandydat na króla polskiego

(Wig.) Do Bukaresztu przyjechał ks. Sykstus Bourbon de Parma, rodzony brat b. cesarzowej Zyty. Poszła tedy depesza do Paryża, że książę z pewnością zabiega o tron polski, pogardzony przez ks. Mikołaja rumuńskiego. Wiadomość tę przetelegrafowano z paryskiej „Volonté" do berlińskiego „Tageblattu", który od siebie dodał, że marszałek Piłsudski ze względu na wiek i stan zdrowia, nie pretendując do korony, upatrzył sobie ks. Sykstusa na króla polskiego. W tej formie wieść doszła do Warszawy, gdzie już pozostawało tylko wyjaśnić, jaką polkę cudzoziemski książę pojmie za żonę.

Dziennikarzom w Bukareszcie, Paryżu, Berlinie i Warszawie, skwapliwie powtarzającym tę kaczkę, jedno nie przyszło na myśl: dlaczego ten Bourbon Parmeński zabiega o tron polski w Bukareszcie? Chyba dlatego, że to najbardziej plotkarskie miasto w Europie.

Nienasyceni czytelnicy

Krytyk literacki znanego pisma londyńskiego „The Observer", p. Gerald Gould, podkreśla z zadowoleniem niezwykłą płodność angielskich pisarzy i produktywność wydawców. Sezon jesienny rozpoczął się dopiero, a już około trzystu tomów wyszło z pod pras drukarskich! P. Gould sam otrzymał tuzin powieści do recenzji w ciągu dwuch tygodni. Skarży się na nadmiar pracy, ale jednocześnie z wielką radością stwierdza, że

z sześciu tomów, które przeczytał w ciągu tygodnia, przynajmniej trzy były tak dobre i na tak wysokim stały poziomie, że każdy z nich „przed dwudziestu laty starczyłby na sensację literacką miesiąca, a nawet sezonu..."

„Dobrze się dzieje z tego powodu publiczności—powiada p. Gould, — która jest szczodrze ugoszczona; dobrze jest wydawcom, którzy mają pojemny rynek, mimo konkurencji teatru, dźwiękowców, radja, gramofonu i rewji. Nieco gorzej dzieje się autorom, którzy mają tak licznych współzawodników. A najgorzej już — recenzentowi, który nie może podołać wielkiej produkcji dobrych książek".

Słowa te w Warszawie brzmią wprost fantastycznie. 300 tomów w ciągu miesiąca — i jeszcze za mało dla rynku „nieustannie głodnego?" Gdyby tak można było polskiej publiczności zaszczepić angielski apetyt do czytania!

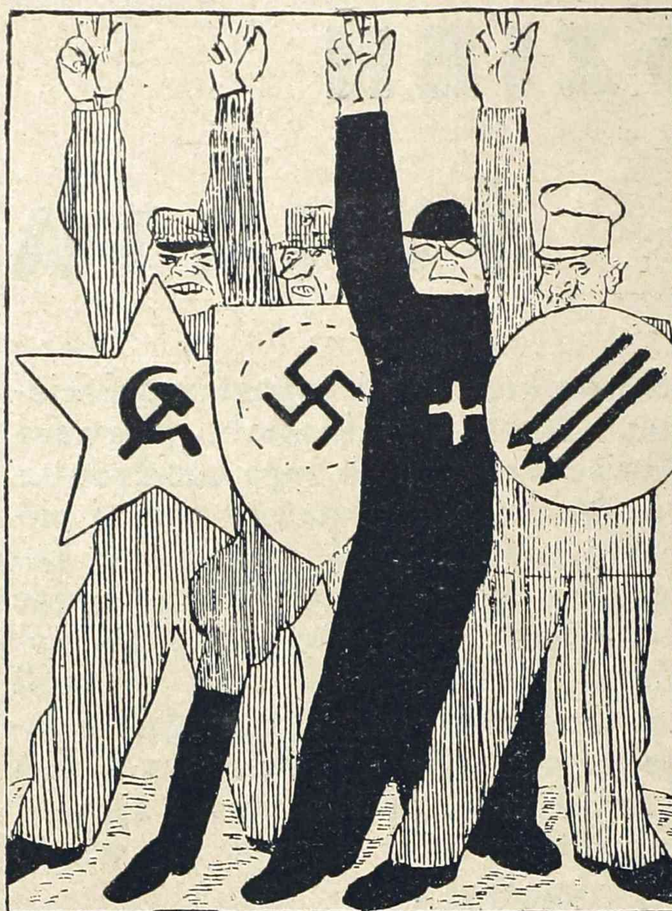
Znudzenie polityczne

(J) Znamieniem wyborów niemieckich jest — nuda, głęboka, ponura, beznadziejna nuda, w jaką wpadają społeczeństwa bez wiary, bez nadziei, opanowane nieokreślonemi, naiwnie mistycznemi dążeniami. Do wyniku wyborów nie przywiązuje się znaczenia. Wiadomo, że spółka Papen - Schleicher będzie się kurczowo trzymała władzy, niezależnie od tego, kto w wyborach zwycięży.

Najnudniejszy jest Hitler i jego histerja, męcząca jego samego, jego otoczenie i jego wyborców. Na wiecach „pięknego Adolfa" coraz mniej liczni słuchacze ziewają. Na ciągłych marszach, rewjach, manewrach i powitaniach szturmowcy narodowo-socjalistyczni ledwo powłóczą nogami. Nie o wiele żywiej ruszają się Stahlhelmowcy, Reichsbannerzyści, Żelaznofrontowcy i Bóg wie, jak tam zwać wszystkie te maszerujące i salutujące formacje wojskowo-polityczne. Przecież praca stronnictw i ugrupowań politycznych, włączając te, które uchodzą za gwardję przyboczną rządu, nie może ustawicznie wyrażać się w paradach...

O tych paradach słusznie ktoś zauważył, że w krajach, które przeszły prawdziwą rewolucję, jak Włochy faszystowskie lub Rosja bolszewicka, najpierw robiono rewolucję, a potem urządzano uroczystości. W Niemczech jest inaczej: Hitler zaczął od parad, aby wymaszerować rewolucję. Domaszerował się do nudy i śmieszności.

Przysięga wyborców niemieckich



— Choć się nienawidzim srodze,
Papenowi staniem wspólnie w drodze.
(„Simplicissimus")

Kryzysy gabinetowe

(V.) Prawie jednocześnie w trzech państwach: Belgji, Czechosłowacji i Rumunji wybuchły przesilenia gabinetowe — i wszędzie załatwione zostały z niezwykłą szybkością. W Belgji pozostał ten sam pod względem partyjnym rząd koalicji katolicko-liberalnej, w innym składzie personalnym z misją przeprowadzenia nowych wyborów parlamentarnych; w Czechosłowacji premjerostwo objął prezes Izby Poselskiej Malipetrow, opierając się na starej większości; wreszcie w Rumunji także utrzymała się u władzy ta sama partja — narodowo-chłopska, zastąpiono jedynie Vaida - Vojewodę istotnym szefem stronnictwa dr. Maniu, oraz wprowadzono na fotel ministra spraw zagranicznych p. Titulescu, który z takim szumem zrzekł się poselstwa w Londynie. Ta nominacja niedyskretnego dyplomaty — to jedyna sensacja ostatnich przesileń.



PREMJER MANIU

67 książąt na jednem weselu

(J) W Koburgu, niegdyś stolicy księstwa Sachsen - Koburg - Gotha, dziś prowincjonalnej mieścinie bawarskiej, odbył się wielki zjazd „byłych" najjaśniejszych panów i pań z powodu uroczystości weselnych królewicza szwedzkiego Gustawa - Adolfa z księżniczką Sybillą Sachsen - Koburg.

Ukazał się publicznie były car bułgarski Ferdynand, rodem z Koburgu; przyjechało kilku członków byłego domu cesarskiego rosyjskiego: małżonka kandydata na cara, Cyryla, która do księgi gości hotelowych wpisała się, jako caryca, oraz jego córka Kira. Zaprezentował się zachwyconym oczom pełniącej straż honorową młodzieży hitlerowskiej sam przyszły Kronprinc z dwoma braćmi; byli obecni Ex - „Grossherzog" Wirtembergji, ex - „Herzogowie" Oldenburgu, ex-„Kronprinz" Bawarji — Ruprecht i kilku pomniejszych „ex'ów", w sumie 67 książąt i księżniczek.

Sporo jednak było na weselu i takich, którzy nie stracili jeszcze prawa do noszenia tytułu: książę Connaught z Anglji, reprezentant króla angielskiego, księżna Alicja Athlone, siostra ex-księcia Koburgu i krewna króla Jerzego, kilku książąt szwedzkich i norweskich, bliskich krewnych narzeczonego.

Ślub cywilny dawał hitlerowiec-burmistrz, p. Schwede. Młodzi szturmowcy pełnili wartę honorową. Sam Hitler, osobisty przyjaciel ojca panny młodej, otrzymał zaproszenie, ale wytłumaczono mu, że nie będzie mile widziany.

Zaproszenie Hitlera i stosunki polityczne w Koburgu powstrzymały od przyjazdu zarówno króla szwedzkiego, dziadka pana młodego, jak i księcia Walji, którego początkowo zapowiadano.

Ślub kościelny był bardzo uroczysty. Wesele niezwykle huczne.

Na uczcie weselnej, na którą zaproszono tylko „najbliższych", znalazł się też pewien starszy jegomość w mundurze generała armji cesarskiej, ozdobiony mnóstwem najwyższych orderów. Rozmawiał swobodnie z książętami i był wielce honorowany. Nikt go coprawda





ŚLUB PRZYSZŁEGO NASTĘPCY TRONU SZWEDZKIEGO, KSIĘCIA GUSTAWA ADOLFA, Z KSIĘŻNICZKĄ SACHSEN KOBURG-GOTHA. (NA LEWO) MŁODA PARA OPUSZCZA ZAMEK. (NA PRAWO) ORSZAK ŚLUBNY WYCHODZI Z KOŚCIOŁA. WIDAĆ WIELKIEGO KSIĘCIA ROSYJSKIEGO CYRILA, JEGO MAŁŻONKĘ I MARSZAŁKA DWORU BARONA VON SCHACK (W HEŁMIE Z ORŁEM)

nie znał — ale każdy przypuszczał, że zna go sąsiad. Dziwiono się tylko niezwykłemu apetytowi pana generała. W ostatnim dniu objadł się kawiorem i upił na umór. Wyprowadzono go z zamku, aby odwieść do domu. Wtedy dopiero okazało się, że był to zwykły oszust, który wkręcił się do orszaku dzięki wypożyczonemu z teatru mundurowi.

Raut polski w Genewie

Świeżo zakończona sesja Ligi Narodów nie przyniosła doniosłych rozstrzygnięć; dyskusje toczyły się ospale, zainteresowanie sprawami rozpatrywanemi było niewielkie. Tem bujniej na szarem tle politycznem rozwinęło się życie towarzyskie. Kulminacyjnym jego punktem był raut, wydany przez delegację polską.

Wspaniale oświetlone i udekorowane apartamenty recepcyjne hotelu wypełniły się szczelnie. Obliczają udział gości na 1800 osób. Było więc to największe przyjęcie, jakie kiedykolwiek odbyło się w Genewie. Przybył na nie nawet p. Litwinow, który naogół udziela się bardzo mało. Przepyszne stroje pań i obsypane gwiazdami fraki dygnitarzy wszystkich państw i wszystkich kontynentów przykuwały uwagę. Honory domu robili państwo Zalescy w otoczeniu członków delegacji polskiej.

Wśród licznie zebranych pań niepospolitą urodą wyróżniała się p. Nina Barcińska, malarka i rzeźbiarka, żona jednego z urzędników politycznych Ligi Narodów, który pochodzi ze znanej rodziny przemysłowej łódzkiej.

Jak w „Hulla ben Bulla"

(l) Z powodu bardzo zabawnej groteski, osnutej na tle wspomnień o wędrówce króla Amanullaha po Europie, a którą gra obecnie Teatr Letni, jeden z naszych dyplomatów opowiada następujące zdarzenie:

Przed rokiem bawił on w jednej miejscowości kuracyjnych w Szwajcarji. W hall'u hotelowym zauważył pana, którego twarz wydała mu się znaną, aczkolwiek egzotyczną. — Kto to jest? zapytał maitre d'hôtel'a. Ten odparł ze zdziwieniem. — Pan minister nie wie? To nasz znakomity gość, eks-król Afganistanu, Amanullah!

W tydzień później zdetronizowany monarcha zniknął z hotelu. Nasz dyplomata zapytał, co się z nim stało?

Maitre d'hôtel ze smutną miną tak mówił o wyjeździe Amanullaha.

— Jego Królewska Mość zainteresował się pewną damą z półświata, którą spotkał na promenadzie. Zawarł z nią bliższą znajomość, sekretarz jego polecił nam dać tej pani w naszym hotelu pokój nieopodal apartamentów królewskich. Lecz oto Jego Królewska Mość zdecydował się nagle wyjechać. Kazał sobie przedstawić rachunek. Przedłożyliśmy równocześnie rachunek za ową damę. Jego Królewska Mość odmówił stanowczo zapłaty.

Więc nazajutrz — zarząd hotelu zwrócił się z rachunkiem do niekoronowanej królowej półświatka. Zdziwiła się.

— Proszę przedłożyć ten rachunek Jego Królewskiej Mości.

— Jego Królewska Mość wczoraj wieczorem wyjechał.

Dama omal, że nie zemdlała.

— Wyjechał? Nie uprzedziwszy mię, nic nie powiedziawszy, nic nie...

I już z prawdziwemi łzami w oczach jęła się tłomaczyć.

— Jestem bez grosza. Nie dał mi nic... jednego franka .. Obiecywał ofiarować mi w najbliższych dniach większą sumę!

— Maitre d'hôtel, — kończył swe opowiadanie z lekkim uśmiechem nasz dyplomata, — dał mi do zrozumienia, że zarząd hotelu zapisał należność od zawiedzionej w swych nadziejach damy na rachunek zysków i strat. A ja, wróciwszy do Warszawy, na jednem z oficjalnych przyjęć spotkałem kilku krajowych dygnitarzy w wielkich wstęgach afganistańskich, oktrojowanych im łaskawie przez Jego Królewską Mość Amanullaha. Nie przypominam sobie tylko, czy na ramionach mieli płaszcze, dające im tytuły książęce.

WZDŁUŻ GRANICY

Odkąd Korpus Ochrony Pogranicza objął pieczę nad naszą granicą wschodnią, zapewniając ziemiom kresowym możność pokojowej pracy, obchodzi dzień 1-y listopada, jako swoje święto.



SZCZĘŚLIWY MĄŻ TRZECIEJ ŻONY FOTOGRAFUJE SIĘ PO RAZ PIERWSZY

Prychają konie, z pod kopyt wylatują pecyny błota, woda zalewa oczy, sączy się po butach, przenika aż do bielizny. Niebo beznadziejne, jak szary los mieszkańców tych ubogich wertepów, żyjących niemal wyłącznie z kontrabandy.

Jest wielki urok w takiej, nie każdemu dostępnej, podróży końmi wzdłuż granicy. Jedna kompanja przekazuje cię drugiej. Przesiadasz się z bryczki na wóz i odwrotnie, nigdy nie wiesz — w zasadzie — dokąd cię przywiozą, jakich ludzi spotkasz. Na końcu każdego etapu stoi zagadka.

Poznawać nowych ludzi jest rzeczą pożyteczną i niezbędną. Gorzej jest, gdy z tymi ludźmi, z którymi być może widzisz się po raz pierwszy i ostatni w życiu, trzeba rozmawiać najczęściej o rzeczach obojętnych i wcale nie ważnych Gdy trzeba stale powtarzać pytania:

— Co przemycają na waszym odcinku?

— Jakie są stosunki z miejscową ludnością i sąsiadami z poza kordonu? — czy to będą Prusacy, Litwini, czy bolszewicy.

Dowiadujesz się wówczas, że do nas przemycają „brandkę", czyli spirytus skażony, „tropy", czyli krople Hoffmanowskie, sacharynę i cukier; od nas idzie „wymyt" w postaci bydła, koni, drobiu, zboża i manufaktury. Że „badyle", czyli poprostu mówiąc — Litwini, są zawzięci doprawdy po litewsku i ani rusz nie chcą uznać obecnej granicy, że z policjantami litewskimi można jednak wszędzie dogadać się po polsku. Na niemieckiem zaś pograniczu, w takim np. Filipowie, gdzie koszary odwodu kompanji są o 20 kroków od granicznego rowu, w niedzielę przychodzą bandy hitlerowców i innego pospólstwa, aby — posiadawszy nad granicznym rowem — słuchać polskiego radja... Idylla jak się patrzy.



PUNKT PRZEJŚCIOWY NA GRANICY POLSKI I PRUS WSCHODNICH PRZY STRAŻNICY BAKAŁASZEW



GRANICA POLSKO-LITEWSKA NAD JEZIOREM ILGIE

Powożący na koźle żołnierz odwraca do ciebie swą dobroduszną, ukraińską twarz chłopa z Tarnopolszczyzny i opowiada, że w okolicy dużo jest „kasztanów"...

Patrzysz dookoła: owszem, olchy, świerki, brzozy i dęby są, ale kasztany?

Nieporozumienie wyjaśnia się. „Kasztanami" nazywają tu staroobrzędowców ze względu na rozłożyste, rudawe brody. W domu mówią po rosyjsku, względem Polski są lojalni...

Woźnica śmiało może rozmawiać z pasażerem. Drogi na pograniczu są wyjątkowo dobre i to jest wyłączną zasługą KOP'a, jak drugą zasługą jest całkowite bezpieczeństwo w pasie przygranicznym. Zabrany rewolwer zardzewiał sromotnie, gdyż nigdzie nie było cienia okazji, aby go wypróbować.

Równie bezskutecznie polowałem na prawdziwego przemytnika. Przejechałem około 250 kilometrów i nigdzie, ani na lekarstwo. W pewnem miejscu towarzyszący mi oficer doradzał, aby sfotografować pierwszego - lepszego chłopa.

— Oni tu wszyscy trudnią się przemytem i pan z pewnością nie omyli się. Ale gdyby chodziło o sztafaż, to możemy zaraz coś zainscenizować...

Zwolna zbliżamy się do Sejn Pozostało z tyłu bijące ciemną falą jezioro Gołaździs i oto świtaniem posuwamy się przez litewski zaścianek Burbiszki. Niebo na wschodzie zwolna się rozjaśnia. Pojedyńcze zrazu złote smużki zlewają się stopniowo w pożogę, obejmującą cały widnokrąg. Przenikliwie świegocą ptaki, trzaskają otwierane drzwi i pastuch, trąbiąc na rogu, zwołuje bydło na paszę. Z jednej z chałup wychodzi stara, rozczochrana baba, wierzchem dłoni przeciera zaspane oczy, palcami prawej nogi drapie łydkę lewej i patrzy ze zdumieniem na miejskiego cudaka, co w towarzystwie żołnierza wlecze się o tak wczesnej porze.

Z komina płynną spiralą unosi się dym. Niebo coraz bardziej różowe. Będzie pogoda.

Dopiero w Sejnach można ogarnąć całokształt pracy Korpusu Ochrony Pogranicza. Czem byłyby Sejny bez stacjonującego tam batalionu KOP'u? Odpowiedź na to da każdy, kto zetknął się z życiem naszych dalekich, prowincjonalnych miasteczek. Bo nic tu nie poradzi najpiękniejsza tradycja i malownicze okolice, gdy brak rzeczy najistotniejszej, — chociażby tak skądinąd wyszydzanego bilonu.

Taki garnizon — to kilkuset żołnierzy, to kilkadziesiąt rodzin podoficerskich i kilkanaście oficerskich, to ruch, popyt na towary i regularny dopływ pieniędzy. To możność wynajęcia swych drobnomieszczańskich mieszkań i możność znalezienia pracy przy budowie, przy dostawach, czy chociażby przy obieraniu ziemniaków dla wojska.

Niezmordowany mjr. Wójcik oprowadza po wszystkich kątach swego batalionowego gospodarstwa. Zbudował stajnie,



PRZEJŚCIE BYDŁA PRZEZ PUNKT KONTROLNY NA GRANICY. Z JEDNEJ STRONY BRAMY STOI STRAŻNIK LITEWSKI, Z DRUGIEJ POLSKI

śpichrz, pralnię, piekarnię, będzie budować koszary...

— Jednak ministerstwo asygnuje?...

Major uśmiecha się z naiwności cywila. Ministerstwo nic nie asygnuje. Z ministerstwa tylko perjodycznie nadchodzą zmniejszenia i skreślenia dotychczasowych etatów. Budżet się kurczy...

— A jednak tyle się robi, buduje?

Tu następuje cały wykład racjonalnej gospodarki, sztuki robienia „we własnym zakresie". Powtarzać nie będę: poco robić konkurencję Sejnom. Faktem jest, że znajduje się czas i środki na pomoc w budowie Domu Ludowego lub — jak w Kaletach — kościoła.

Korpus Ochrony Pogranicza — magiczne, dobroczynne słowa. Oceniają je w całej pełni tylko ci, którzy się z jego działalnością zetknęli — nie wyłączając przemytników.

Lud tu zresztą biedny i na ziemię chciwy. Rozgadałem się raz z gospodarzem - Polakiem, który szczęśliwie pojąwszy, jako trzecią żonę, Litwinkę, z trudem już tylko obracał polskim językiem.

Przyszedłem do niego z kapralem i prosimy, aby nam sprzedał garniec jabłek.

— Czemu nie, jabłek można sprzedać.

Gaworzyliśmy o rentowności gospodarki: — baran kosztuje 5 i pół złotego, gęś zaś — 3 do 4 złotych. Nagle zwróciłem uwagę na widniejący opodal wielki pochylony mocno krzyż.

— Możebyśmy poszli obejrzeć ten mogilnik?

I oto stoimy przy cmentarzyku wojennym, jakich tysiące na ziemiach polskich. Ten jednak wyjątkowo był smutny i zaniedbany. Kilkanaście próchniejących krzyżów, opatrzonych zardzewiałemi tabliczkami, z których czas i niepogody



TYP STAROOBRZĘDOWCA ZE WSI POSEJANY



ZASADZKA NAD NIEMNEM PRZY STR. DRUSKIENIKI. PIĘKNY WIDOK NIE OSŁABIA CZUJNOŚCI WARTY

zmyły ślady nazwisk rosyjskich żołnierzy. Nietylko jednak prawosławne krzyże przyciągały uwagę widza. Oto ogrodzenie cmentarza leżało w wybujałych chwastach, między bruzdami świeżo zoranej roli. Pług zbyt widocznie wdzierał się w ostatni przytułek poległych.

Wskazując na kawał żołnierskiego zetlałego sukna, wyoranego i zawieszonego na zardzewiałym kolczastym drucie, zapytałem:

— Czy macie tak mało ziemi, że podbieracie mogilnik?

— Oniż, panoczku, ziemi naszej nie potrzebują — odpowiedział chłop bez żenady.

Konrad Jotemski

(Zdjęcia autora).

Film sądowy

Kara śmierci

Ubiegły tydzień sądowy zszedł pod znakiem sądów doraźnych. Poraz to pierwszy zbiegło się tyle spraw, rozpatrywanych w trybie nadzwyczajnym, pod grozą wiszącej nad oskarżonym karą śmierci.

Przez kancelarję Prezydenta Rzeczypospolitej przeszło w ubiegłym tygodniu sześć podań o łaskę względem skazanych na śmierć sześciu oskarżonych w różnych stronach kraju.

Sześć odmownych decyzji.

Obrońcy straconego w Warszawie w ubiegły czwartek Wincentego Milewskiego, dwukrotnego żonobójcy, byli obecni przy wykonaniu wyroku. Egzekucja zrobiła na nich tak wstrząsające wrażenie, że obaj potem przez całą noc nie zmrużyli oka. I przez parę dni prześladowało ich okrutne wspomnienie. Jeden z nich miał wnosić w dwa dni później z urzędu obronę w drugiej sprawie doraźnej przeciw Władysławowi Gałązce, mordercy sklepikarza z pod Jabłonny. Zgłosił się do wiceprezesa sądu z prośbą o zwolnienie go z tego obowiązku. Stan nerwów nie pozwolił mu na podobne powtórne przeżycie.

Obrońcy jako okoliczność, szczególnie szarpiącą nerwy, podnoszą moment ceremonji ponownego odczytywania wyroku już przed samem jego wykonaniem. Skazaniec, przyprowadzony pod szubienicę, musi tam stać czas dłuższy, podczas gdy prokurator czyta obszernie umotywowaną treść wyroku.

Ceremonja zdaje się trwać wieki, a tymczasem skazaniec przeżywa dławiący strach śmierci. Byłoby humanitarniej, gdyby (jeśli już wyrok musi być odczytywany poraz drugi) czyniono to w celi więziennej.

„Ciekawych" jednak nigdy nie brakuje. Prócz osób urzędowych zawsze zbiera się pokaźna grupa ludzi ustosunkowanych, którzy otrzymują prawo wstępu.

*

W dwuch sprawach doraźnych, rozpatrywanych przez sąd okręgowy, w procesach Milewskiego i Gałązki, przesunęła się ta sama czerwona nić dziwnego zaślepienia obu morderców, ich murzyńskiej psychologji. Milewski chciał zdobyć

pieniądze na wódkę i na grę w totalizatora. Dlatego tylko zamordował. Nie zaprzątał sobie głowy tem, co nastąpi jutro. Nie łudził się, aby zniknięcie Podleśnej dało się ukryć. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał zdać sprawę z zabójstwa. Była to jednak rzecz dalsza, nad którą nie chciał się zastanawiać. Aby dziś była wódka, jutro może być nawet śmierć.

Identycznie to samo z Gałązką.

— Po zabójstwie bawiłem się i ani na chwilę nie myślałem, co będzie później. Był moment, że nawet zupełnie zapomniałem, — zeznawał, — jeździłem tylko taksówkami, bo tak przyjemnie nogę na nogę założyć, a wszyscy patrzą, że jadę...

*

Do zgoła innej kategorji oskarżonych należał Wincenty Wabia-Wabiński, popularny jubiler warszawski, właściciel pierwszorzędnego magazynu, fundator licznych nagród w imprezach dobroczynnych. Raczej człowiek nieszczęśliwy, niż przestępca. I on też uczepił się dewizy: carpe diem! Aby dzisiaj, aby załatać. Poprostu „Triszkin Kaftan". Jutro będzie, co Bóg da.

Ofiara fatalnych konjunktur i własnej lekkomyślności. Lecz jakże okrutnie przez los ukarany!

Sąd okazał względność wobec nieszczęśliwego człowieka.

Jan Drobniewski

ZŁOTE GODY

W dniu 24 października pp. Marja z Toeplitzów i Jerzy Meyerowie święcili pięćdziesiątą rocznicę małżeństwa. Uroczystość zgromadziła całą rodzinę, — z Medjolanu przybył specjalnie brat p. Meyerowej, znany dyktator finansowy Włoch, dyrektor naczelny Banca Commerciale, p. Józef Toeplitz — oraz liczne rzesze warszawskich przyjaciół i znajomych, a wśród nich wiele najwybitniejszych osobistości ze świata finansowego i przemysłowego stolicy. Wszyscy składali pp. Meyerom serdeczne życzenia — godów brylantowych.

Rewizja osobista

W „Dzienniku Ustaw" № 89 ukazało się rozporządzenie „o sposobie przeprowadzania rewizji osobistej w postępowaniu przymusowem w administracji".

Powiadam wam, moi państwo, że jak kto ma pecha, to najlepiej zrobi, jeżeli wcale się nie urodzi. Exemplum — ja. Jest na świecie trzydzieści zgórą miljonów Polaków, mniej lub więcej zadłużonych Polaków, prawda? To właśnie ja, akurat ja pierwszy musiałem wypróbować na sobie dobrodziejstwa nowego rozporządzenia.

O co poszło? O głupstwo, o bagatelę, nawet mówić nie warto. W czasach, kiedy jeszcze nikomu nie śniło się, że zaufanie także będzie przeżywało kryzys, popełniłem lekkomyślność i w pewnym banku amerykańskim pożyczyłem na słowo honoru 100.000 dolarów. Bank mógł mi śmiało pożyczyć, bo informował się o mnie i powiedziano mu, że w końcu 1923 roku byłem multimiljonerem. Kto z nas wówczas nie był miljonerem, niech pierwszy we mnie ciśnie kamieniem.

Bank kilka razy upominał się o tę bagatelkę, a ja go zapewniałem, że zapłacę po pierwszym. Wreszcie, niepomny zasług, jakie dla Ameryki położyli Kościuszko i Pułaski, oddał sprawę do sądu, uzyskał wyrok i zwykłą rzeczy koleją w środę rano, kiedy właśnie zastanawiałem się nad tem, u kogoby pożyczyć 200.000 dolarów, żeby móc Amerykanom zwrócić 100.000, odwiedził mnie komornik.

— Czy to pan... tego...?

— Owszem... właśnie ja...

— Czy może mi pan wskazać majątek dostateczny do pokrycia egzekwowanej należności?

— Mogę. Naprz. ordynację Zamoyskich, ale zapewniam pana, że to nie mój majątek.

— W myśl tedy art. 2 rozporządzenia z dnia 23 sierpnia 1932 r., wzywam pana przed przystąpieniem do rewizji osobistej do dobrowolnego wręczenia mi posiadanych pieniędzy. Czy ma pan jakieś pieniądze?

Sięgnąłem do portfelu i położyłem przed „organem egzekucyjnym" dziesięciorublowy banknot oraz 50.000 marek polskich, które pozostały u mnie z czasów, kiedy byłem miljonerem.

— Może brylanty ma pan?

— Mam jeden. To moja przyjaciółka. Nazywają ją Mańką Brylant. Panie, żebyś pan widział, co to za...

— Proszę sobie nie żartować... A może ma pan złoto?

— Mam złote serce.

— Brelok czy medaljon?

— Nie, co za przypuszczenie, prawdziwe serce. Nie przechwalam się, ale tak wszyscy utrzymują. Pozatem mam złote usposobienie, o czem zresztą pan sam zapewne już się przekonał, gdy w tak tragicznych okolicznościach mówię z panem zupełnie swobodnie, po przyjacielsku. A propos, panie organie egzekucyjny, może herbatki albo kawki, taki ziąb na dworze... komornik, też przecież człowiek... napijemy się? Może być z rumem?

Organ egzekucyjny nasrożył się, zmarszczył wyliniałe brwi i oświadczył, że musi przystąpić do osobistej rewizji. Zaledwie jednak dotknął mnie, wybuchnąłem okropnym śmiechem. Śmiałem się, jak szaleniec, jak opętaniec. Śmiejąc się, padłem nawznak na otomanę i broniłem rękami i nogami przystępu do siebie.

— Co panu jest? — zapytał przestraszony komornik.

— Nie mogę... nie mogę... pan mnie łechce... a ja jestem ogromnie łaskotliwy — proszę pamiętać o art. 4 rozporządzenia, który nakazuje „zachowanie należnych względów dla osoby rewidowanej".

— To niech się pan, do djabła, rozbierze, zrewiduję ubranie, a pana się nie dotknę.

— Toby już nie była rewizja osobista. Tego rozporządzenie nie przewiduje.

Organ egzekucyjny usiadł i długo pisał. Podobno był to protokół.

Dziesięciozłotówka (ostatnia) ocalała. Zjadłem tego dnia obiad, a wieczorem poszliśmy z Brylantem do kina.

Po wyjściu z kina opowiedziałem Mani moją przygodę.

Pełna świętego oburzenia zwróciła się w stronę Ameryki i, wygrażając pięścią, zawołała: Poczekaj!

Myślę, że Ameryka poczeka.

Termidor

„HULLA BEN BULLA" W TEATRZE LETNIM



Jerzy Leszczyński, jako władca Hałwistanu, Dominiak — szwagier monarchy i kandydat do korony, Ciecierski — minister finansów egzotycznego kraju, Grabowski — przezabawny dygnitarz „nostrackiego" M. S. Z. — i Fertner, Fertner budzący nieustanne salwy śmiechu Fot. Jan Malarski



Fertner, — rozkoszny, niezrównany Fertner, jako statysta filmowy, w otoczeniu pięknych tancerek

Teatry Warszawskie

TEATR LETNI

„Hulla ben Bulla", widowisko groteskowe Arnolda i Bacha w opracowaniu Kazimierza Wroczyńskiego.

Ustalmy faktyczny stan rzeczy. Wśród teatrów stolicy Teatr Letni był zawsze, jest i nadal być pragnie teatrem, który widzowi zapewnić ma — wesołe przepędzenie wieczoru. Jest więc teatrem lekkiej komedji, krotochwili, farsy, groteski, bufonady, nawet — szarży. Krótko mówiąc, jest teatrem — śmiechu! Dostarczanie tego krzepiącego eliksiru poczytuje sobie za obowiązek. Jednocześnie, jako należący do grupy teatrów dawniej miejskich, dba o to, by śmiech był serwowany przez najlepszych artystów. To jego ambicja.

Temu obowiązkowi i tej ambicji w stuprocentowym stopniu czyni zadość ostatnia premjera Teatru w Ogrodzie Saskim. Groteska farsowa panów Arnolda i Bacha (autorów „Hiszpańskiej muchy", która przed rokiem w tym samym Teatrze Letnim święciła powtórne tryumfy), zręcznie adaptowana i udowcipniona przez Kazimierza Wroczyńskiego, nie jest bezwątpienia ani mądrzejsza, ani subtelniejsza od innych sztuk tego typu, — przecież, jeżeli o tem mowa, ma punkt wyjścia wcale dowcipny i zgoła sensowny. Bezrobotny artysta filmowy w pogoni za zarobkiem natrafiający na pompatycznie zabawny orszak bajecznie kolorowych figur egzotycznych, jaskrawo umundurowanych, kotyljonowo uorderowanych, i biorący całą tę prawdziwą dyplomatyczną super-paradę za zdjęcie filmowe — to „ostatni krzyczek" przejawów życia bardzo dzisiejszego, to nawet ociupina jeżeli już nie satyry obyczajowo-politycznej, to conajmniej humorystycznego odbicia prawdziwego życia w groteskowo wklęsłem lusterku teatralnem.

Od tej chwili następuje już ucieszny taniec mniej lub więcej absurdalnych nieporozumień, wielce zabawnych qui pro quo, których opowiadać nie należy, ale z których można i trzeba rzetelnie się uśmiać. Tak uśmiać, jak to od kilku dni czyni publiczność Teatru Letniego. Trzeba by naprawdę być pozbawionym wszelkiego zmysłu wesołości, żeby się nie pokładać ze śmiechu, patrząc na rozbrajające przemiany Fertnera - ułana, Fertnera - księcia, Fertnera - pataszona! A jaką soczystą barwę aktorską, ile smacznej szarży ma król - dzikus Jerzego Leszczyńskiego! Jaką paradną groteskę dyplomatyczno-arystokratyczną daje Grabowski! Ile szatańsko-wesołego temperamentu rozrzuca dokoła Kurnakowicz! Jaki prawdziwie rufinowsko-morozowiczowski spokój komiczny ma „marnotrawny syn" Teatru Letniego — Władysław Walter! Wdzięk i finezję kobiecości reprezentują z powodzeniem: Janina Macherska, powrócona „na Warszawy łono", i nowa gwiazdka na horyzoncie warszawskim — Zofja Marcinowska z Krakowa. Rekordu trafności obsadowej dopełniają: Franciszek Dominiak oraz *homo novus* dla publiczności stołecznej — interesujący komik Jan Ciecierski.

„Hulla ben Bulla" w tej wyborowej i wybornej obsadzie będzie napewno przez długi szereg wieczorów hulał na deskach kochanej, wesołej budy w Ogrodzie Saskim. *Al B-e.*

P. S. Wspomnieć należy o momencie, który będzie stanowił atrakcję dla pań. W drugim akcie „Hulli ben Bulli" zaprezentowano egzotycznemu królowi wspaniałą rewję mód. Dla panów — czarujący balet.

WARSZAWSKIE TEATRY MIEJSKIE rozpoczęły sezon jesienny pod szczęśliwą gwiazdą. Powodzenie na całej linji. W Teatrze Narodowym tryumf święci „Iwan Groźny" Tołstoja w opracowaniu poetyckiem Stanisława Miłaszewskiego, z Junoszą-Stępowskim, Węgrzynem i Samborskim w rolach głównych. W Teatrze Nowym na „Mademoiselle" co wieczór sala szczelnie wypełniona. Zanosi się na długi łańcuch świetnych przedstawień. A w Teatrze Letnim „Hulla ben Bulla", nie zdobywszy całkowicie krytyki, zdobył wstępnym bojem publiczność. Groteska ta, grana z olbrzymiem w Berlinie i Wiedniu powodzeniem (główną rolę odtwarzał najznakomitszy komik niemiecki, Pallenberg) budzi i u nas nieprzerwane wybuchy śmiechu.

W kilku wierszach

— Świetna poetka i utalentowana autorka dramatyczna, Marja Pawlikowska-Jasnorzewska, wystawiła ostatnio w Teatrze Miejskim w Krakowie najnowszą swoją komedję p. t. „Egipska pszenica" z Jaroszewską w głównej roli kobiecej. Rzecz doskonale napisana i wybornie odegrana zdobyła duże powodzenie. Sensacyjny temat sztuki, niezwykle śmiałe jego potraktowanie wywołały liczne artykuły, polemiki, nawet odczyty publiczne. Ujrzymy ją niezadługo na jednej ze scen warszawskich.



ZOFJA JAROSZEWSKA I MARJA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA PO PREMJERZE „PSZENICY"

*

— Dyr. łódzkiego miejskiego teatru p. Stanisława Wysocka planuje w najbliższym czasie wystawienie dwóch sztuk Jewreinowa: „Miłość pod mikroskopem" oraz „Teatr wiecznej wojny". Pisarz rosyjski przybyć ma z Paryża do Łodzi na te premjery.

*

— Znakomita artystka dramatyczna Wanda Siemaszkowa, obecnie pracująca w zespole miejskich teatrów we Lwowie, obchodzić będzie w najbliższym czasie jubileusz 45-letniej pracy aktorskiej.

*

— W Łodzi zawiesił przedstawienia teatr rewjowy „Cyrulik", grupujący pod dyr. J. Majdego część zespołu dawnego „Qui pro quo". Miejsce jego zajęła rewja żargonowa p. n. *„Di Idysze Bande"*. Tak więc liczba teatrów polskich już zmniejszyła się o jeden. Na terenie stolicy mówi się o możliwości niedojścia do skutku aż dwóch imprez teatralnych: jednej operetkowej w śródmieściu i jednej dzielnicowej. Kryzys działa...

*

INAUGURACJA „TEATRU ARTYSTÓW"

„Krakowiacy i górale" Wojciecha Bogusławskiego i J. N. Kamińskiego z prologiem i epilogiem Zygmunta Nowakowskiego. Inscenizacja Z. Nowakowskiego.

Przedewszystkiem chciałoby się posprzeczać z twórcami nowego teatru o nazwę. Dlaczego „Teatr Artystów"? Czy nie prościej byłoby, szczerzej i skromniej „Teatr Aktorów"? W sferach artystycznych stolicy nazwano nowy teatr jeszcze prościej: „Teatr Zaspowy". Nazwa odpowiadająca rzeczywistości, gdyż nowy teatr został stworzony przez Związek Artystów Scen Polskich. Pogratulować mu tego dzieła! Zaprawdę, to *cud* wcale nie *mniemany*, w dzisiejszych trudnych czasach nie uląc się *zabobonu* kryzysu i stworzyć taką nie *zabawkę dramatyczną*, lecz olbrzymi, monumentalny — gmach teatralny!

W gigantycznych dymenzjach nowego templum teatralnego trochę nieswojo aż było — o wiele kameralniej pomyślanej inscenizacji Zygmunta Nowakowskiego. Ci, co widzieli jego „Krakowiaków i Górali" na scenie krakowskiej (gdzie przed 4-ma laty święcili prawdziwy tryumf, grani w jednym sezonie około 100 razy!) opowiadają, że widowisko ówczesne oddziaływało bardziej bezpośrednio, że bajeczna kolorowość bajki-ferji miała więcej prostego wdzięku, muzyka i słowa więcej ciepła i niewolącego uroku. Bezwątpienia, w obecnym warjancie inscenizacyjnym widowisko jest nieco *przereżyserowane*. Inscenizator poprawił, uzupełnił, ulepszył samego siebie. A lepsze, jak powiadają francuzi, jest wrogiem dobrego. Pozatem nie jest winą inscenizatora, że akt pierwszy — najlepszy — tej czcigodnej sztuki trwać musi bez mała pięć kwadransów, że akt drugi jest tak dziecięco naiwny i wątły, że nie jest do uratowania dla dzisiejszego widza, — że akt trzeci, zresztą już krótki, powtarza motywy i efekty aktu pierwszego...

Bądźmy sprawiedliwi: inscenizator uczynił bardzo wiele wysiłków, — naogół trafnych i celowych, żeby monotonję tekstu ożywić, ubóstwo fabuły ubogacić, — i mimo wszelkie „zasadnicze" (akademickie!) zastrzeżenia, dał widowisko teatralne interesujące, stojące naogół na wysokim poziomie, nie banalne, — kolorowe a nie przejaskrawione (zasługa malarza Różańskiego), — zmontowane z dużą fachowością i nieprzeciętnym talentem reżyserskim.

Z wykonawców przedstawienia inauguracyjnego, uświetnionego udziałem mistrza Zelwerowicza, narzucili się naszej uwadze: P. Relewicz - Ziembińska, Bolesław Rosłan, Tad. Frenkiel, a z młodszych: Helena Kamińska, Mieczysł. Borowy i Ziemowit Karpiński. Całość, mimo inauguracyjną przewlekłość premjery — przyjęta była gorąco przez wdzięczną, życzliwie nastrojoną publiczność.

„Teatr Artystów", jeżeli pójdzie po linji dostarczania wzruszeń estetycznych najszerszym masom stolicy i stanie się teatrem popularnym w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu — dobrze się zasłuży kulturze artystycznej Warszawy.

O GRÓB CHOPINA

W dniu 17 października 1849 roku około godz. 4-ej nad ranem zmarł w mieszkaniu swem na placu Vendôme Nr. 12 w Paryżu Fryderyk Chopin. Dopiero zaś we wtorek, 30 października, zwłoki złożono na wieczny spoczynek na wschodnim cmentarzu paryskim, zwanym Pére Lachaise. Przez dwa tygodnie, dzielące dzień śmierci od pogrzebu, trumna spoczywała w podziemiach kościoła Św. Magdaleny. Czas tak niezwykle długi w ceremonjach pogrzebowych potrzebny był z tego powodu, iż Chopin, „syn francuza z duszą polską urodzony", jak nazwał go Andrzej Edward Koźmian, wyraził szereg życzeń co do ceremonjału żałobnego.

Umierał długo. Męczył się wskutek gruźlicy płuc przez wiele lat, a wyraźny kres począł się zbliżać już podczas 7-miesięcznego pobytu w Anglji i Szkocji. Gdy wrócił 24 listopada 1848 roku z Londynu do Paryża, był już bardzo chory. Cyprjan Norwid porównał go wtedy do „arcydelikatnego owadu, którego należało dotykać się z największą ostrożnością, ażeby mu nie uszkodzić skrzydeł". Chodził jeszcze, więcej jednak siedział, zgarbiony, z głową opuszczoną, co chwila zanosił się od kaszlu i ledwo powłóczył nogami. Dokuczały mu też ciężkie kłopoty materjalne. Na kilka miesięcy przed śmiercią zmuszony był dać do sprzedaży pamiątkowy zegarek Bregueta. Rodacy na obczyźnie uwielbiali go, ale o jego kłopotach materjalnych nie myśleli. Zwykła dola wielkiego twórcy.

O śmierci swej wiele mówił. Mówił z lekarzami, a zwłaszcza z doktorem Cruveiller, który, choć widział stan beznadziejny, starał się ulżyć strasznym cierpieniom chorego i był przy nim aż do ostatniego tchnienia. Mówił z kapłanem-kolegą, ks. Jełowickim, który pojednał Chopina z Bogiem, mówił też z licznem swem otoczeniem, więc z siostrą Jędrzejewiczową, z Delfiną Potocką, z Pleyelem, Franchommem, z przyjacielem malarzem T. Kwiatkowskim, z rzeźbiarzem Clesingerem i jego żoną Solange (córką George Sand), z ks. Marceliną Czartoryską, z Lisztem, hr. Grzymałą, Gavardem i t. d. To było niemal stałe otoczenie Chopina aż do ostatniego tchnienia.

Istnieje więc wielu świadków tych chwil, gdy Chopin, oczekując z pogodą śmierci, wypowiadał ostatnie życzenia. Sam ułożył, jak to stwierdza Karol Gavard, program nabożeństwa żałobnego, pragnąc, aby w kościele przy trumnie wykonane było potężne „Requiem" Mozarta. Po raz ostatni w Paryżu dzieło grano podczas pogrzebu Napoleona. Aby z całym pietyzmem dostosować się do ostatniej woli Chopina, potrzeba było dwóch tygodni. Pogrzeb stał się wspaniałą manifestacją uczuć, jakie śmierć Chopina wywołała w Paryżu.

„C'etait une royauté qui s'en va" — wyraził się do głębi przejęty jeden z publicystów paryskich, spoglądając na olbrzymi kondukt żałobny.

Paryż, w którym Chopin spędził prawie połowę życia (1831 — 1849) i gdzie znalazł atmosferę wysoce odpowiednią dla rozwoju swego genjuszu, czcił Chopina i uwielbiał; zachował też dlań wierny, głęboki kult po śmierci. Dlatego sprawiono mu więcej, niż królewski pogrzeb. Dlatego znacznie wcześniej, niż Polska, Paryż postawił mu pomnik w honorowem miejscu, w przepięknym zacisznym parku Monceau z inicjatywy p. Peru *).

Zwłoki spoczywają na Père Lachaise od lat 83. Grób ten często bywa terenem podniosłych manifestacji żałobnych i celem wędrówek. Niema trudności z szukaniem grobu Chopina: wskaże go każdy dozorca cmentarny.

Teraz po 83 latach powstał w Polsce projekt, by ziemię cmentarną na Père Lachaise rozkopać, spokój wieczny zmarłemu zakłócić, wydobyć trumnę z grobu, zabrać ją Paryżowi i Francji i przewieść do Polski...

Projekt powstał niewątpliwie z najlepszych intencji; jeśli jednak wgłębić się w życie Chopina i w mistyczną treść jego czynu twórczego, a następnie zestawić to z możliwością tej pośmiertnej podróży, dojrzy się w tym pomyśle jakiś akt świętokradzki i egoistyczny. A przedewszystkiem niepotrzebny.

Niema ani jednego argumentu, któryby za tym projektem przemawiał. Jest wiele, które krzyczą przeciw niemu. Zrodziła się ta myśl nie z uwielbienia i tęsknoty, lecz raczej z naśladownictwa: Mickiewicz, Słowacki, Sienkiewicz... wrócili do kraju po śmierci. Czemużby Chopin nie miał?

*) O pomniku Chopina w Paryżu pisał Stefan Krzywoszewski w „Kraju" w roku 1900.

Nie poruszajmy Mickiewicza. Inne tam były warunki i motywy. Sprowadzenie zwłok Słowackiego było manifestacją wzruszeń, gdy okręt wiozący je dążył przez polskie morze do polskiego portu w Gdyni. Ale i wówczas były zastrzeżenia. I były głosy, iż gdyby w trumnę Słowackiego w drodze przez morza na krążowniku wojennym uderzył piorun wśród burzy, zapalając wiezione na dnie prochy i dynamity, byłby to wspaniały, kosmiczny i mistyczny pogrzeb tego, co z Bogiem i z błyskawicami rozmawiał. I wielkość Słowackiego spotężniałaby w duszach ludzkich.

Czyż Pułaski, bohater konfederacji Barskiej i walk o wolność Ameryki, mniejszą ma dostojność, że spoczął na dnie Oceanu?...

Henryk Sienkiewicz pragnął leżeć w Polsce. Gdy zmarł wśród pożogi wojennej w Vevey nad Lemanem, nie sprawiano mu pogrzebu. Złożono zwłoki w krypcie kościelnej za ołtarzem i czekano na wolną Polskę, by do niej przywieźć hetmana duszy Narodu.

Fr. Chopin wydał wyraźne dyspozycje co do swego pogrzebu i miejsca spoczynku. Liszt pisze w książce o Chopinie: chciał być pochowany obok Belliniego, z którym się przyjaźnił, i obok Cherubiniego. Życzenie to wiernie i ściśle spełniono. W pobliżu są grobowce osób drogich Chopinowi za życia: Boildieu, Paëra, Kreutzera, rodziny Erardów.

O Polsce pamiętał Chopin zawsze, aż do ostatniego tchnienia. Gdy czuł koniec, bał się letargu. Dusząc się w agonji i nie mogąc już mówić, pisał na kartce:

„Quand cette toux m'etouffera je Vous conjure de faire ouvrir mon corps, pour (que) je (ne) sois pas enterré vif".

Kazał więc otworzyć po śmierci swe umęczone ciało.

Siostrze zaś swej, Jędrzejewiczowej, zlecił: „Zabierzcie do Polski moje serce"...

Wolę tę ściśle wykonano.

To serce spoczywa w puszce, wmurowanej w kolumnę kościoła Św. Krzyża w Warszawie. Ciało pozostało w Paryżu. Na wieko trumny nasypano garść ziemi polskiej, którą Chopinowi ofiarowali na wyjezdnem z Warszawy przyjaciele i towarzysze. Jakby przeczuwali, że już nie wróci.

Poco teraz zakłócać spokój zmarłemu i wydobywać zwłoki z ziemi? Dla widowiska?... Może to być widowisko uroczyste, wzruszające i piękne, ale niepotrzebne. Kult dla Chopina można szerzyć, pozo-



MASSIMO FRECCIA,
młody włoski dyrygent, prowadził filharmoników warszawskich w dniu 21 b. m., wykazując prawdziwy talent, temperament i poczucie stylów zarówno w symfonji Mozarta, jak i w kompozycjach współczesnych (Ravel). Akompanjował z dużą precyzją Piatigorskiemu.



GRZEGORZ PIATIGORSKI,
znakomity wiolonczelista rosyjski. Wystąpił w Filharmonji warszawskiej, jako solista na koncercie symfonicznym w dniu 21 b. m. Grał mało znany i bardzo trudny koncert wiolonczelowy Schumana. Licznie zebrana publiczność przyjmowała młodego artystę z dużą serdecznością.



PAWEŁ SCHEINPFLUG,
kompozytor niemiecki, kapelmistrz Filharmonji drezdeńskiej i berlińskiego Musikverein'u — występował w Filharmonji, dyrygując kompozycjami Brahmsa, Regera i Piotra Rytla — oraz dwukrotnie w Operze warszawskiej, prowadząc „Toscę" i „Aidę".

stawiając zwłoki jego pod opieką Francji. Twórczość Chopina ma znaczenie ogólnoludzkie, dla nas tem droższe, iż wyrosła z rdzenia naszej pieśni ludowej. Tam, w środku Paryża, który jest stolicą Europy i świata, Chopin i po śmierci mówi nadal o Polsce i o jej duszy.

Nie sądźmy też, iż Paryż odda tę trumnę bez oporu, bez żalu. Odda, gdy zażądamy, ale wytworzy to zgrzyty i niechęci. Społeczeństwo francuskie, które blizko przez wiek pełniło dostojną straż nad trumną Chopina, winno mieć ją i nadal. Już odezwały się protesty. Jean Louis Vaudoroyer pisał w „Figaro": „Polska posiada serce Chopina, niechże pozostawi nam jego prochy".

Byłoby profanacją tych tkliwych uczuć, gdybyśmy chcieli poruszać prochy Chopina. Pozostawmy je w czci i spokoju.

Jan Czempiński

Z Filharmonji Warszawskiej

Coraz większą sprężystość i sprawność, coraz lepsze rezultaty wykazuje dyrekcja Orkiestry filharmonijnej. Zastała przed rokiem chaos, brak kierunku artystycznego i planu, a zwłaszcza do gruntu zdemoralizowaną i zniechęconą do muzyki publiczność. Zeszły rok był okresem wstępnych zmagań z piętrzącemi się trudnościami wszelakiej natury. Obecnie znać już pracę wytężoną pp. Wiłkomirskiego, Surowicza, Łabuszyńskiego, Bromkego i Dworakowskich. Pozwala ona spodziewać się dalszych postępów, które już dziś objawiają się na afiszach i na sali.

Mieliśmy już od początku sezonu parę bardzo dobrych koncertów, słyszeliśmy świetnych artystów: znakomitego skrzypka Milsteina, pianistę Hoehna, wiolonczelistę Piatigorskiego, utalentowanego kapelmistrza Freccię, chór sykstyński. Usłyszymy 28 b. m. Backhausa, 4.XI — Unińskiego, 11.XI — nową symfonję Szymanowskiego (z kompozytorem przy partji fortepianowej); pozatem — czterech uczniów Paderewskiego: Sztompkę, Brachockiego, Szpinalskiego i Dygata.

Piątkowe koncerty symfoniczne, które jeszcze niedawno gromadziły zaledwie kilkadziesiąt osób, dziś zapełniają salę.

Nie wszystko jeszcze doprowadzono do porządku. W pierwszym rzędzie zwrócić należałoby uwagę na dyrygenta.

Najcięższą chorobą wszystkich minionych okresów był brak w Warszawie stałego dobrego kapelmistrza. A toć jest on przecie podstawą wszelkiej muzyki symfonicznej.

Obecny zarząd ma tę zasługę, że nie zawahał się zapraszać do nas, dorywczo, kilku doskonałych kapelmistrzów cudzoziemskich. Jest to już duży postęp wobec panującego dawniej ostracyzmu, — ale nie wystarczający.

Należałoby teraz zrobić krok dalszy i poprosić jednego z nich, niekoniecznie „firmowego", o dłuższy pobyt wśród nas i pracę z naszą doskonałą, ale niewyzyskaną, orkiestrą.

Następnie pragniemy zwrócić uwagę Zarządu na pewien szczegół natury już nie artystycznej, ale administracyjnej, który w konsekwencji odbija się ujemnie na frekwencji i nastroju publiczności. Mamy na myśli zapuszczenie, w jakiem się znajduje sala Filharmonji. Tumany kurzu przesłaniają estradę, widzianą z dalszych rzędów. Czyż tak wielkich kosztów wymaga wyszorowanie podłóg, wymycie okien i przewietrzenie sal? Odnosi się wrażenie, że tych prostych czynności, wykonywanych w każdym szanującym się domu, Zarząd Filharmonji (Sp. Akc.) zaniedbał od lat kilkudziesięciu.

Czasby i tu wpuścić trochę świeżego powietrza.

M. Kl.

KRONIKA MUZYCZNA

* Zmarła Janina Niekraszowa, znana i zasłużona śpiewaczka, występująca pod pseudonimem Ady Nekar. Cieszyła się ona sławą także poza granicami kraju, zwłaszcza w Pradze Czeskiej.

* Komitet „Dni Szopenowskich w Polsce" zorganizował siedem audycyj, poświęconych twórczości genjalnego kompozytora. Audycje odbywają się w środy i soboty w Konserwatorjum.

* W Żelazowej Woli, miejscu urodzenia Fryderyka Szopena, odbyły się dn. 16 b. m. uroczystości w związku z „Dniami Szopenowskimi". Kilkadziesiąt wieńców złożono u stóp pomnika Szopena, wzniesionego w 1894 r. staraniem warszawskiego Tow. muzycznego.

* Jedno z największych wydawnictw angielskich „Oxford University Press" wydało w trzech olbrzymich tomach wszystkie dzieła Fryderyka Szopena. Jest to najpiękniejsze wydanie dzieł Szopenowskich, jakie dotychczas ukazały się w ruchu księgarskim. Opracowanie tej imponującej całości powierzono Edwardowi Ganche'owi, znanemu muzykologowi francuskiemu. Jednocześnie w tłomaczeniu angielskiem wyszedł z druku zbiór listów Szopena, dokonany przez Henryka Opieńskiego.

* Zmarł kompozytor francuski Jan Nougues, autor muzyki do „Quo Vadis" według powieści Sienkiewicza.





LILI ZIELINSKA, jedna z najpiękniejszych artystek b. Teatrów Miejskich, została zaangażowana przez wytwórnię „Blok" do filmu „Każdemu wolno kochać". Urocza artystka kreuje rolę „Reni", o której rękę walczą Skonieczny i Maszyński, wspomagany przez Mirę Zimińską i Dymszę. Reżyserja Krawicza i Warneckiego

Najbliższe filmy polskie



„Wielka miłość Fioretty", czyli „Pałac na kółkach" — oto tytuł przygotowywanego filmu, którego scenarjusz oparto na powieści Kossowskiego „Cyrk". Rolę tytułową objęła utalentowana artystka Teatrów Miejskich, p. Karolina Lubieńska, której amantem jest Zbyszko Sawan. Poza scenami lirycznemi o wielkiem napięciu, film zawiera wiele momentów komicznych, w których popisują się mistrz Zelwerowicz i Kazimierz Krukowski

MARCEL BERGER

Pan Bonichon i jego pies

Na wieży kościelnej wybiła jedenasta.

Pan Bonichon stoi przed bramą swego domu przy ulicy Św. Jakuba, czekając na ulubieńca swego, czarnego kudłatego Ripa, który zajęty jest właśnie ogryzaniem potężnej kości na trotuarze.

— Rip!... Rip!... — woła pan Bonichon.

Słychać chrupanie nieszczęsnej kości. Rip, nie przerywając uczty, macha protekcjonalnie ogonem.

— Rip!... — woła znowu pan Bonichon tonem prośby.

Wzruszony błagalnym głosem pana, Rip podnosi się z chodnika i trzymając w zębach smaczną zdobycz, wolnym krokiem zbliża do bramy.

Pan Bonichon chciałby uderzyć niesforne stworzenie, lecz Rip usuwa mu się zręcznie, prześlizguje między nogami pana i znika w drzwiach ciemnego korytarza.

— Żeby go tylko stróżka nie zauważyła! — myśli pan Bonichon, przecierając okulary.

W oknie mieszkanka stróża nie widać nikogo. Pan Bonichon wspina się po ciemnych, wąskich schodach. Z dołu dochodzi chrapliwy głos stróżki, przeklinający Ripa, który tymczasem jest już na trzeciem piętrze i ze spokojem gryzie dalej swoją smakowitą kostkę.

Pan Bonichon wchodzi wyżej. Na czwartem piętrze otwierają się drzwi.

— Rip! — woła ktoś ostro.

Pies porzuca zdobycz, w paru susach przebiega kilkanaście wąskich stopni i zręcznie przedostaje się przez szparę półprzymkniętych drzwi, poczem znika w głębi mieszkania.

Drzwi na czwartem piętrze energicznie zamknięto.

* *

Pan Bonichon zadzwonił do swego mieszkania. Żona otworzyła drzwi.

— Dzień dobry, kochanie! — przywitał ją uprzejmie.

Bez słowa odpowiedzi podreptała z powrotem do kuchni.

Pan Bonichon zatopił się w czytaniu gazet. Z kuchni dochodziło go radosne szczekanie Ripa. A więc atmosfera pogody i domowego błogiego spokoju. Stróżka też była dzisiaj jakoś uprzejmiejsza.

Gdy siadano do obiadu, Rip wbiegł do jadalni i spokojnie wyciągnął się pod ścianą. Wogóle dzisiaj zachowywał się wyjątkowo przyzwoicie. Nie opierał nawet łap na obrusie, czekając cierpliwie, aż litościwa ręka pana poda mu ukradkiem smaczny kąsek.

— Postanowiłam dzisiaj... — zaczęła pani Bonichon.

Mąż zachłysnął się ostatnim łykiem piwa.

— Cóż takiego? — zapytał słodko.

— Musisz mnie uwolnić od tego wstrętnego psa! Już dosyć mam narzekań i przekleństw stróżki. Mówiłam ci już tyle razy...

Pan Bonichon nadewszystko cenił spokój domowy, to żądanie jednak wydało mu się zbyt bezwzględne.

— Pozwól rozpatrzyć tę kwestję uważnie, — zaczął przekonywująco. Spotkał się z lekceważącem wzruszeniem ramion małżonki.

— A zatem co mam z psem zrobić?

— Sprzedać go.

— Kto kupi Ripa?

— Tak, to prawda. Więc każ go zabić.

— Wszystko, tylko nie to!

— Zaprowadź go dokąd chcesz i zostaw. Tyle psów ginie; przecież i ty znalazłeś go przed rokiem na ulicy.

Pan Bonichon pochylił się smutnie nad talerzem.

* * *

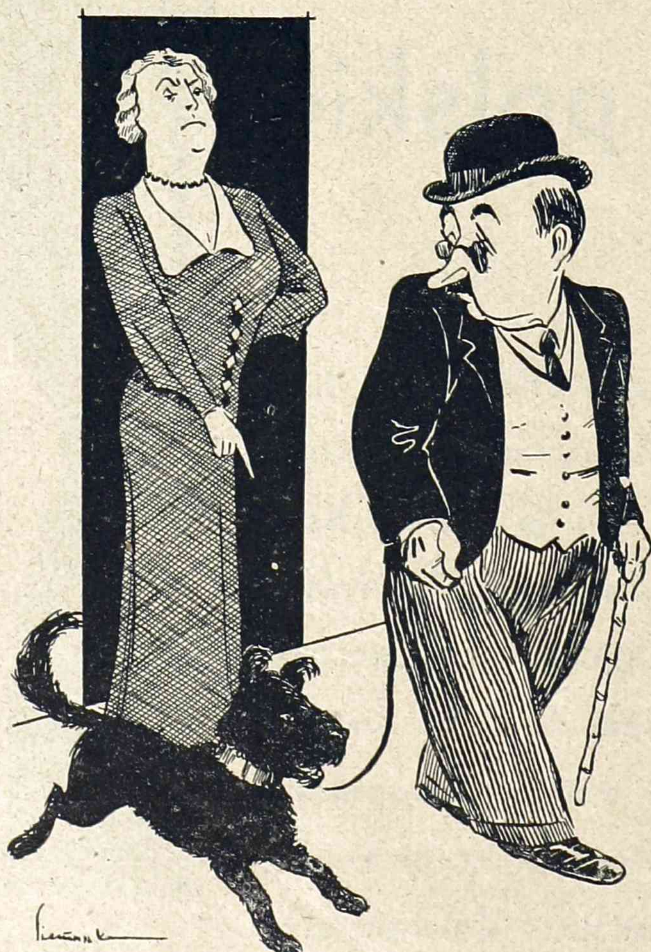
Punktualnie o drugiej pan Bonichon zdjął kapelusz z wieszadła i gwizdnął cicho na Ripa. Spokój domowy jest przecież rzeczą najważniejszą.

Pani Bonichon stała w przedpokoju.

— Wiedz o tem, że więcej twego psa do domu nie wpuszczę, — zapowiedziała twardo.

— A możeby jej jeszcze tę sprawę wytłumaczyć, — pomyślał pan Bonichon.

Zanim jednak zdążył usta otworzyć, silna dłoń małżonki zatrzasnęła za nim drzwi energicznie. Po schodach schodził powoli, tylko Rip skakał i szczekał zawzięcie, nie posiadając się z radości z perspektywy miłego spaceru. Gdy przechodzili koło okna stróżki, posypały się zwykłe wymysły i urągania.



Pan Bonichon poczerwieniał ze złości, Rip zaś, nie troszcząc się o nic, zanurzył łeb w głębokim rynsztoku, zwilżając zeschłe od szczekania gardło.

Pan Bonichon czekał zrazu cierpliwie, wreszcie gwizdnął przeciągle. Rip podbiegł w ochoczych podskokach, obryzgując ubranie swego paan brudną wodą z kałuży.

— Tego już naprawdę zawiele, — pomyślał, czyszcząc zabłocone palto. — Tyle przykrości sprawia mi to paskudne psisko. I żona wiecznie zdenerwowana i stróżka gdera ustawicznie. Żadnej nie mam z niego korzyści; ani domu nie pilnuje, ani też na polowanie zabrać go nie można. Brudny, hałaśliwy i szalenie żarłoczny...

Tak rozgoryczony szedł wzdłuż ulicy, obserwując bacznem okiem biegnącego przed nim Ripa. Pies oszalał poprostu z radości, pędził naprzód, to znowu wracał, patrząc w oczy z przywiązaniem. Pan Bonichon wolno kroczył za nim, myśląc ze smutkiem o rozstaniu z Ripem, które dziś musi nastąpić.

Wstydził się swego głupiego sentymentu.

— Zawsze byłem chwiejny i niezdecydowany. Nie naprożon żona nazywa mnie „słabą głową", a inni także w ten sposób o mnie myślą. Dobrze byłoby wyzbyć się tego na starość i stać się naprawdę mężczyzną. Zbliżali się do parku. Pan Bonichon zaciął zęby, wytarł kroplisty pot z czoła i westchnął głęboko. Pragnął teraz jedynie spokoju. Przywołał psa, który przybiegł w podskokach, pochylił się nad nim, zdjął mu obrożę i ukradkiem pocałował w kudłaty łeb. Rip uradowany liznął go pieszczotliwie w policzek.

Zdecydowanym krokiem wszedł pan Bonichon do parku i siadłszy na ławce, zagłębił się w czytaniu gazety.

Rip obserwował pana swego wzrokiem pełnym zdziwienia.

Zdjęli smycz! Zdjęli obrożę! A więc zupełna swoboda? Co znaczy ta wolność? Rip jest panem własnej woli i może bezkarnie biegać po parku! Pan jego zaczytany w gazecie nie ma nic przeciwko temu, nie powie: — Rip, choć tu!

Wielki Boże! Rip skacze uradowany po trawniku, nurza się w białym, czyściutkim piasku, chce złapać swój własny ogon, ogryza łodygi kwitnących roślin i zaczepia wszystkie małe i duże psy, kroczące poważnie na uwięzi. Dwaj dozorcy zbliżają się wąską aleją, żywo gestykulując.

Pan Bonichon blady śmiertelnie, podnosi się z ławki, wychodzi wolno z ogrodu i wsiada do pierwszego przejeżdżającego omnibusu.

Omnibus zatrzymuje się przed Dworcem St. Lazare. Pan Bonichon musi wy-

siąść i pójść do domu. Idzie wolno przepełnionemi tłumem ulicami; jest dziwnie przygnębiony i smutny; brak mu czegoś... a może kogoś... Czuje się dziwnie samotny wśród tłumu publiczności. Z przyzwyczajenia gwiżdże od czasu do czasu i ogląda się wokoło za kudłatem stworzonkiem. Psy rozmaitej wielkości chodzą ulicą, każdy na smyczy. Pan Bonichon zazdrości przechodniom ich własności... Idąc tak bezmyślnie przed siebie, znalazł się znowu przed bramą parku. Czyżby przypadek? Przecież oddalił się znowu od domu. Jakaś przemożna siła pcha go w tę właśnie stronę. Automatycznym krokiem wchodzi do ogrodu. I poco?

Zatrzymuje się; serce bije nierównomiernie, wzrok roztargniony błądzi po barwnych kwietnikach.

Cóż to za zbiegowisko? Co to znaczy ta skupiona gromadka dzieci? Co ciągnie ten dozorca na grubym postronku.

Pan Bonichon wsparł się o pień drzewa. Czuł, że go siły opuszczają.

To Rip, czarny, kudłaty, zawsze brudny, hałaśliwy, uwięziony teraz na grubym sznurze, opiera się silnej dłoni dozorcy.

Wreszcie człowiek zwycięża i Rip zostaje przywiązany do żelaznej kraty ogrodzenia. Dzieci śmieją się radośnie.

— Proszę się rozejść! — woła dozorca twardym głosem.

Dzieci pierzchają z przestrachem.

Obok leży jeszcze jakiś pies, mały biały pudel o długiej jedwabistej sierści. Rozciągnięty na słońcu, śni słodko o smacznym obiedzie.

Rip kręci się niespokojnie, ogląda się wokoło, wreszcie zrezygnowany kładzie się pod parkanem, a po chwili rozlega się żałosne wycie, niby głośna skarga i prośba zarazem.

* * *

Pan Bonichon przestaje panować nad sobą; postępuje parę kroków naprzód i gwiżdże krótko.

Rip porwał się z ziemi i wszelkiemi sposobami usiłuje wydostać się z krępujących go więzów. Pan Bonichon przyśpiesza kroku. Dozorca zwraca się ku niemu:



— Czy to pański pies?

— Tak, to jest Rip.

— A gdzie obroża?

Pan Bonichon rumieniąc się, jak pensjonarka, wyciąga obrożę z kieszeni.

Dozorca przerzuca kartki notesu.

— Zapłaci pan karę. Nazwisko pańskie? Gdzie pan mieszka?

Cóż znaczą te wszystkie formalności, gdy Rip jest wolny?

Znowu skacze jak szalony z radości i nurza się w piasku.

— Jeszcze jeden warjat, — myśli dozorca, patrząc na uśmiechniętą twarz pana Bonichon.

Salutując grzecznie, dozorca oddala się wolno.

Rip odbiegł parę kroków, a teraz czeka na swego pana przy trawniku. Pan Bonichon obejrzał się nagle, poczuł ciepłe liźnięcie na dłoni.

Mały biały pudel o długiej jedwabnej sierści patrzał mu w oczy błagalnie. Pan Bonichon wahał się przez krótką chwilę, wreszcie pobiegł za oddalającym się dozorcą:

— Proszę pana! — zawołał, rumieniąc się znowu. — Ten mały biały także do mnie należy...

Przekład *Janiny Zawisza*

Szlakiem dziesiątej muzy

SŁABY SCENARJUSZ — TO KULA U NOGI FILMU

Niejednokrotnie stwierdzaliśmy na tem miejscu, że film, aby był dobry, musi być oparty na zwięzłym, interesującym i prawdopodobnym scenarjuszu. Gdy scenarjusz jest lichy i pozbawiony cech prawdopodobieństwa, nie pomoże często doskonała robota reżyserska i mocna obsada.

Jako przykład — służyć może film „Blond Venus" z Marleną Dietrich (kino „Europa", znane z nieuprzejmości jego właściciela). Świetna gra Marleny i miłego chłopczyka w roli jej synka, doskonałe zdjęcia nie mogą okupić całkowicie błędów lichego i często pozbawionego sensu scenarjusza, który nudzi i drażni brakiem konsekwencji.

„BIAŁA TRUCIZNA"

W atelier „Falangi" — orkiestra pod dyr. Zygmunta Białostockiego, znanego kompozytora sentymentalnych tang, cieszących się zasłużonem powodzeniem, nagrywa muzykę do filmu „Biała trucizna". Muzyka ta oparta jest na kompozycjach własnych autora tanga „Szczęście trzeba rwać, jak świeże wiśnie" oraz na kompozycjach muzyków dawniejszych (Händl, Bach) i nowoczesnych (Wł. Dan, Wiktor Krupiński i in.).

ANTONI FERTNER NA EKRANIE

Dużą sensację w świecie miłośników kina wywołała wiadomość, że znakomity artysta teatralny, Antoni Fertner, objął jedną z głównych ról w komedji filmowej p. t. „Romeo i Julcia". Fertner dotychczas grał tylko w jednym filmie, a mianowicie w komedji „Rywale", zrealizowanej osiem lat temu.

Chevalier—krawcem?

Tak to prawda! Okazuje się, że Maurice Chevalier, najsławniejszy piosenkarz ekranu, bożyszcze publiczności kinowej całego świata, był krawcem i to zwykłym krawczyną, posiadającym mizerny sklepik w jednym z licznych zaułków Paryża. Maurice wierzył w swą szczęśliwą gwiazdę, wierzył, że wypłynie na szersze wody, a temczasem komponował piosenki ku uciesze swych klientów.

Szczęśliwym trafem znalazł się wśród klientów Maurice'a, wicehrabia de Vareze, najwytworniejszy mężczyzna w Paryżu, lecz nieposiadający nic prócz tytułu. Rozczarowany niewypłacalnością hrabiego, Maurice próbuje uzyskać zapłatę za swą pracę u głowy rodziny — lekkomyślnego arystokraty — księcia d'Artelines, na którego zamku poznał kuzynkę hrabiego de Vareze, pannę Jeanette de Rochembeau. Każdy się już domyśla, że losy Mauricea i Jeanettki zwiążą się ze sobą, bo Jeanettką jest nikt inny tylko... Jeanette Mac Donald, a cała czarująca historja filmowa opowieścią Mamouliana, podana w pikantnym sosie na ekranie kina „APOLLO" w filmie p. t. „KOCHAJ MNIE DZIŚ".

Nowy tryumf lotnictwa polskiego



Powitanie w Warszawie kapitana-pilota Karpińskiego, który wespół z mechanikiem inż. Rogalskim odbył wspaniały rajd powietrzny nad strasznemi pustyniami, niebosiężnemi górami i piaszczystemi chmurami Azji

Fot. Wł. Brzozowski

KWADRANSIK Z ARTYSTĄ

czyli opis własnemi słowami zwyczajów i obyczajów sławnych ludzi.

5. JAN SZCZEPKOWSKI

Nader przyjemne rozmowy ze sławnymi ludźmi mają też nieraz swoje wady. Ot, naprzykład, Dyrektor Miejskiej szkoły sztuk zdobniczych, świetny rzeźbiarz, Jan Szczepkowski, przyjmuje najchętniej



... „ale najbardziej martwi mnie przekroczenie terminu" (Szczepkowski)

(Fotomontaż autorki).

między 7 a 9 rano. A mnie udzieli specjalnie pierwszej audjencji, powiada.

Tak zaszczycona, ubieram się przy świetle latarni i czekam, aż remiza wypuści pierwszy tramwaj na Myśliwiecką. Tragedja...

Ale zemsta jest słodką... Usiadłam w gabinecie dyrektorskim (a ludzie i kobiety pod drzwiami na kolejkę czekają), i siedziałam spokojnie na krzesełku przez półtorej godziny. Podziwiałam bez pośpiechu piękne rzeźby, inni interesanci już zaczęli się złościć i wyrzekać, setki pytań zadaję, już sarkają, a ja nic, monografję Warchałowskiego o Szczepkowskim chwytam i umysł kształcę.

Poszłam odespać wczesny ranek dopiero po audjencji, obdarzona cenną monografją z autograficznym komplementem.

Rozmawialiśmy o wielu rzeczach. Więc naprzód spytałam o pomnik Bogusławskiego, coto na placu Teatralnym ma stanąć. Miał, mojem zdaniem, stanąć w maju, podstawa w czerwonym granicie z płaskorzeźbami gotowa, a postać Bogusławskiego, do bronzu przeznaczona, już odlano w gipsie. Ale ten gips okazał się zwietrzały, odlew się spaczył, i praca dwóch lat poszła w gruzy. To łatwo napisać, ale dla artysty dramat.

Znaczy: trzeba jeszcze raz wylepić.

A najwięcej martwi artystę przekroczenie terminu...

— Dyrektorze zdobniczy — mówię skromnie i z szacunkiem, — czy to rzeźbiarz, znakomity rzeźbiarz, szewcem jest, aby pomniki jak zelówki na termin dostarczał? Czy nasza doniczego niepodobna urbanistyka wogóle nie powinna być uradowana, że ją pan chce przyozdobić swoim pomnikiem? Najgorsze, ot to, że dwa pomniki trzeba robić, a płacą za jeden, czysta strata materjalna.

— Takiego już mam pecha — wzdycha mistrz. — Za płaskorzeźby na Banku Gospodarstwa Krajowego też połowę mi urwano ze względów oszczędnościowych.

— Życie jest ciężkie, — powiadam, — lecz nie wypominając p. Dyrektorowi, to prócz pecha, ma chałupę nad morzem, willę w Milanówku, samochodzik...

— Podatki i tyle tej frajdy — dorzuca zafrasowany.

Pociechę znajduje w szkole. Rozwija się ona doskonale, daje świetne rezultaty, a nawet uczelnie artystyczne w Wiedniu i Zurychu wprowadziły jego system brył.

NAKAZ MODY

Na szlakach mody

Podobnie jak państwa, i moda przechodzi wstrząsy i rewolucje. Szybko po sobie następujące zmiany sprawiają, że moda, w poszukiwaniu ciągle nowych efektów, sięga do historji, zapożycza się u wszystkich epok, ulega krańcowo sprzecznym wpływom; niema prawie dziedziny, którąby w ten lub inny sposób nie odzwierciedliła się obecnie w modzie.

Sztuka, nauka, wynalazki, sporty, a nawet — ktoby przypuszczał — polityka znajdują w niej swój wyraz.

Setna rocznica urodzin Maneta, którą Paryż uczcił wspaniałą wystawą jego dzieł, natchnęła twórców mody inwencją wprowadzenia kapeluszy z kokardami i upięciem kwiatów, zaczerpniętemi z ubiorów kobiet na jego obrazach.

Manja yo-yo, zabawka dla starych dzieci, która lotem błyskawicy przebiega cały świat, podziałała również na modę. Istnieje już suknia yo-yo!



P. M. Nowicka w tualecie wieczorowej z czarnego velours mat, ozdobionej riuszami z greckiego tiulu, oryginalny model f. LUCYNA (Boduena 2).

W pięknych salonach firmy „Lucyna" zademonstrowano nam na pokazie właśnie tę suknię.

Model z lilas-rouge angory posiada, jako ozdobę, torsadę wokoło szyi ze sznelek w trzech kolorach biało-czerwono-zielonej. Czy noszenie takiej sukienki obdarza posiadaczkę atrybutem mistrzostwa w grze yo-yo, o tem nie było na pokazie mowy, w każdym razie suknia ta oddała całkowicie ducha czasu i olśniła oryginalnością.

Jak wyobrażają sobie czytelniczki suknię, która się nazywa „Greta Garbo"? Wielbicielki „białego płomienia Szwecji" wysilcie waszą wyobraźnię!

Otóż model Greta Garbo, podziwiany na pokazie u „Lucyny", odznacza się przedewszystkiem niezwykłem wyrafinowaniem, przy pozornej prostocie. Jest to bowiem tualeta wieczorowa, na przekór wszystkim lamom, koronkom i t. p. materjałom, predestynowanym na ten cel, — zrobiona z wełny... Ba, ale z jakiej?



P. M. Nowicka, art. teatrów Miejskich, w czarnej sukni z crêpe, z rękawami z peau d'ange z f. LUCYNA (Boduena 2). Kapelusz z fijołkowego filcu (antilope) z magazynu RÓŻA, Zielna 24.

Miękka, modelująca kształty angora, barwy malinowej spływa powłóczysto ku ziemi. Kremowy kwiat zdobi asymetryczny dekolt. Poszerzono ramiona skrzydełkami, imitującemi epolety. I nic więcej. Całość doskonała.



P. Marjola, wschodząca gwiazdka filmowa w kostjumie z angory brique, przybranym futrem z małp, z f. EWELINA (Chmielna 24).

Pozatem pokazano nam u „Lucyny" suknię wieczorową z czarnej crêpe satin, model Lanvin. Głęboko dekoltowana, posiada kołnierz-pelerynkę, naszywaną stalowemi cekinami, spiętą na boku trzema kameljami z blado różowego aksamitu. Przez zamianę pelerynki na usiany brylantami, w kształcie komet, żakiecik z krótkiemi rękawkami przeobraża się tę suknię w wielką tualetę balową.

Wszystkim paltom, kostjumom i sukniom popołudniowym towarzyszyły na pokazie „Lucyny" piękne i ze smakiem dobrane kapelusze, pochodzące ze znanego magazynu „Róża", tworząc harmonijną całość.

*

Z bogatej kolekcji, jaką przedstawiono na pokazie u „Eweliny", zwracały uwagę kostjumy jesienne, przeważnie z wełny angora, pomysłowo przybrane futrem.

Więc na pogodne dni jesienne miło będzie posiadać kostjum z czarnej angory, obramowany suto karakułami. Miękki kołnierz posłusznie układa się, tworząc zabawną pelerynkę, owijającą się wokoło ramion. Po zdjęciu żakietu, widzieliśmy górę sukni z wysoko zachodzącą talją z flamisolu gris perle, ozdobioną guzami z galalitu.



P. Marjola w tualecie wieczorowej z czarnego velour transparent z f. EWELINA (Chmielna 24).

Inny jeszcze kostjum z wełny brique posiadał kołnierz i górę rękawów z małp.

W sukniach popołudniowych dominował kolor czarny, bronzowy i tony czerwonawe. Ozdoby w barwach kontrastujących. Dużo połączeń czarno-białych.

W bardzo dobrym tonie była suknia wieczorowa princesse z czarnej crêpe marocain, o linjach pięknych, której oryginalność podnosiły rękawki bufki z okrągłemi okienkami.

Niejedną z licznie zebranych pań uwiodła swą renesansową dostojnością tualeta wieczorowa z czarnego velour'u transparent.

(le)

Z żałobnej karty

Ś. p. Stefan Glass

Ś. p. Stefan Glass, urodzony w r. 1895 w Warszawie, ukończył w r. 1913 gimnazjum Konopczyńskiego. Następnie studjował matematykę we Lwowie u Sierpińskiego, w Pizie u Diniego i w Zurychu u Weyla.

Po powrocie do kraju był asystentem przy katedrze matematyki w Politechnice Warszawskiej i w Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie, gdzie w r. 1925 zyskał doktorat filozofji.

Od lat najmłodszych wykazywał zdumiewające zdolności do nauk przyrodniczych, oddając się zarazem pracom z zakresu studjów nad Słowackim. W książce maturzystów „Bez Przyłbicy", wyszła w roku 1913 jego rozprawa „Ku powadze życia", — studjum o Królu-Duchu, które w zdumienie wprawiło ówczesnych historyków literatury: — I. Matuszewskiego, Chlebowskiego, I. Chrzanowskiego i Kleinera.

Obdarzony genjalnym umysłem filozoficznym, był zarazem głęboko religijnym: szczerym, gorącym, wyznawcą wiary katolickiej. Interesował się zagadnieniem komunizmu, którego nieudolność ujął w sposób wielce oryginalny ze stanowiska przyrodniczego. Był autorem subtelnych poezji lirycznych i tłomaczem utalentowanym. Sztuka Lenormand'a „Medea" w jego przekładzie wystawiona będzie wkrótce w jednym z teatrów warszawskich.



Zgasł dn. 20 października r. b. Śmierć nieubłagana skosiła ten tak wspaniale rozwijający się kwiat, czyniąc niezastąpioną szczerbę w nielicznym zastępie naszych genjalnych pracowników na polu nauki, literatury i poezji polskiej.

Cześć Jego pamięci.

Ś. p. Jan Kisiel-Kiślański

Ś. p. Jan Tadeusz Kisiel-Kiślański, był synem Zygmunta Kisiel-Kiślańskiego, znanego architekta, który lwią część swego życia poświęcił pracy przy budowie kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie, oraz ś. p. Teodory z Heurichów.

Zarówno matka ś. p. Jana Kiślańskiego jak i Jej dwie siostry, Emilja i Helena, brały czynny udział w powstaniu 1863 roku, w następstwie czego zostały skazane na wygnanie. Po powrocie do Ojczyzny, matka zmarłego ś. p. Teodora wydała książkę p. t. „Wspomnienia z powstania 1863 r." cieszącą się wielkiem uznaniem.



Ś. p. Jan Kiślański urodził się 14 marca 1883 roku. Po ukończeniu Warszawskiego Gimnazjum Realnego, wyjechał na dalsze studja do Instytutu Handlowego w Atwerpji, który ukończył z wyższem odznaczeniem. Po powrocie do Polski objął firmę „Emilja Heurich" założoną w 1873 roku przez Jego matkę i ciotki, w której pracował z wielką umiejętnością i energją przez 28 lat.

Jako człowiek zacny, uczciwy, wielce pracowity, obdarzony wysokiem poczuciem honoru, odznaczał się wybitną inteligencją i wykształceniem, posiadał kompletną znajomość wielu obcych języków, z których wyróżniał najwięcej język hiszpański, któremu poświęcał wiele studjów. Przeżywany przez nas obecny kryzys gospodarczy, doprowadził Jego firmę egzystującą przez 60 lat, do ruiny, co było główną przyczyną przedwczesnego zgonu ś. p. Jana Kiślańskiego. Śmierć Jego wywołała ogólny i szczery żal wśród szerokich kół naszego społeczeństwa.

Cześć Jego pamięci!

Ś. p. Zofja Zagłoba Tarchalska

Ś. p. Zofja z Boskich Zagłoba Tarchalska, córka Juljusza i Ewy z Dunin Wąsowiczów Boskich, właścicieli Dóbr Bobrowniki Ziemi Radomskiej, urodzona w Czerwcu 1863 r. w Bobrownikach. Pochodząc ze znanej rodziny ziemiańskiej do śmierci przechowywała w domu piękne staropolskie tradycje. Ś. p. Zofja z nadzwyczajną gościnnością gromadziła obok siebie bliższą i dalszą rodzinę oraz szeregi przyjaciół i znajomych, a tradycyjnym zwyczajem w każde Święta za stołem Jej domu zasiadało po kilkadziesiąt osób. — Biedni całej dzielnicy mieli w niej prawdziwą opiekunkę, a nikt proszący nie odszedł bez wsparcia. — Powszechny żal towarzyszy Jej do grobu.



Pochowana została w grobach rodzinnych, rodziny Boskich, obok swego pradziada, dziada, ojca i 2-ch braci. Osierociła męża Władysława, Prezesa Emerytów Banku Polskiego oraz trzy zamężne córki i gromadkę wnucząt.

Salomon Neuman

W dniu 20 października r. b. zmarł w Warszawie, w sędziwym wieku 84 lat, Salomon Neuman, znany w szerokich kołach Warszawy bankier i finansista z okresu, poprzedzającego wojnę światową.

Zmarły, po ukończeniu w Częstochowie znanej tam wówczas szkoły Lippego, przybył do Warszawy, gdzie po odbyciu praktyki bankowej założył w roku 1873 własny dom bankowy.

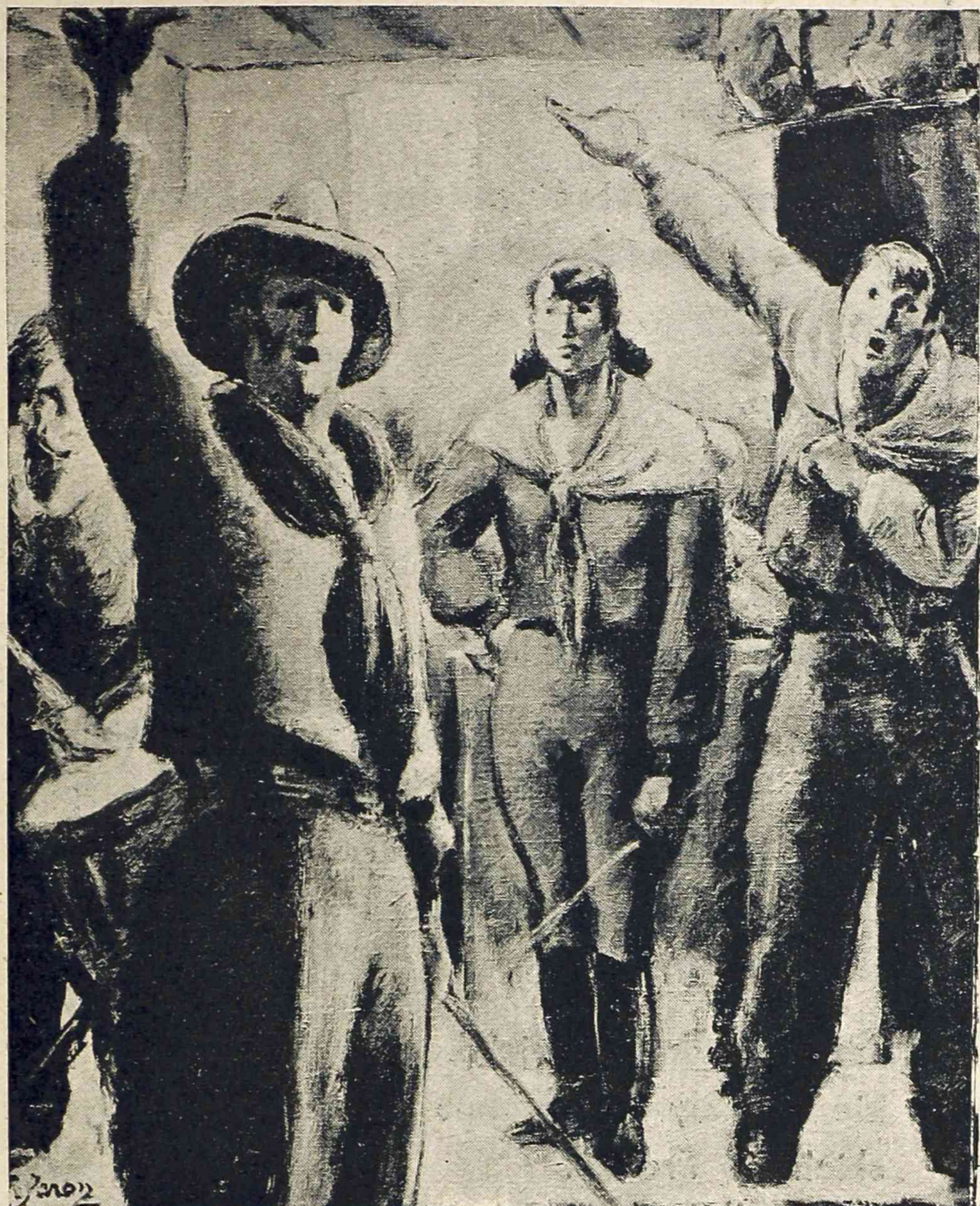
Dom bankowy Salomona Neumana, zrazu skromny, zwolna, ale stale powiększał swój zakres działania. Dzięki wybitnym zdolnościom, wielkiej sumienności oraz niezmordowanej pracowitości zmarłego, prowadził jego dom bankowy coraz rozleglejsze interesy, zdobywając zaufanie coraz liczniejszego i poważniejszego zastępu klijentów z całego kraju. Zaufania tego zmarły nigdy w najmniejszym stopniu nie zawiódł, przezwyciężając skutecznie, dzięki swej zdolności przewidywania i przezorności, piętrzące się trudności nawet w okresach najcięższych zmagań gospodarczych, jak w czasie krachu wiedeńskiego oraz wojny rosyjsko-japońskiej.



Na początku wojny światowej zmarły, w należytem zrozumieniu zupełnie zmienionej sytuacji gospodarczej, do której dostosować się nie chciał, postanowił swój dom bankowy po jego chlubnem 41-letnim istnieniu zlikwidować. Dał tem raz jeszcze dowód trafnego ujmowania zjawisk gospodarczych oraz swego zupełnie niezależnego sądu, którym się stale w ciągu swego długiego i pożytecznego żywota kierował.

W obejściu skromny, dostępny i uprzejmy, cieszył się w mieście naszem dużą popularnością i pozostawił po sobie pamięć człowieka wybitnie rozumnego i dzielnego.

Giełda Pieniężna w Warszawie rozporządza fundacją imienia zmarłego oraz zmarłej jego przed trzema laty małżonki, Marji z Wawelbergów, mającą na celu udzielanie zapomóg podupadłym kupcom.



Parada cyrkowa



Chłop francuski

Roman Jarosz, malarz ulicy paryskiej

Niespodziany zgon ś. p. R. Jarosza wywołał głęboki żal w kolonji polskiej w Paryżu. Zmarły artysta należał do rzadkich wyjątków. Mimo wzrastającego powodzenia u kolekcjonerów, nie miał bodaj nieprzyjaciół. Człowiek o prawym charakterze i zacnem sercu, skromny, cichy, uczynny, cieszył się powszechną sympatją i uznaniem. Niepowszednie te przymioty osobiste łączył ze szczerym talentem i gorącem umiłowaniem sztuki.

Studja zaczął w Akademji krakowskiej pod kierunkiem prof. Axentowicza, który go bardzo cenił. Wyjechał do Monachjum, ale atmosfera tamtejsza mu nie odpowiadała. W 1912 r. udał się więc do Paryża. Pracuje u M. Dénisa, śledząc uważnem i krytycznem okiem ówczesne eksperymenty kubizmu i futuryzmu. Wybuch wojny zaskoczył go we Francji. W piersi artysty płonął ofiarny patrjotyzm. Zaciąga się na ochotnika do Legji Cudzoziemskiej. Musiał się bardzo odznaczyć, skoro opuścił szeregi armji z Krzyżem Wojennym, w randze porucznika.

Rezygnując z świetnie zapowiadającej się karjery wojskowej, Jarosz wraca do sztuki. Po krótkim pobycie w pracowni Guérina, występuje już samodzielnie. Obrazy jego w Salonach: Jesiennym, Tuljeryjskim i Niezawisłych zdobywają poklask krytyki. Parę zbiorowych wystaw, w tej liczbie ostatnia w galerji Bareire, ugruntowały jego reputację.

Jarosz kochał życie i naturę. Abstrakcyjne doktryny nigdy go nie nęciły. Jest zdecydowanym realistą. Rychło zyskał renomę jednego z najlepszych malarzy ulicy paryskiej. Z pasją obserwuje i utrwala słynne jarmarki - foires, które przez rok cały wędrują z jednego bulwaru i placu stolicy na drugi. Malownicze strzelnice, menażerje, pokazy osobliwości, loterje, huśtawki, parady atletów o groźnych nazwach „Tygrysa Belleville" i „Mordercy z placu Bastylji", karuzele rozpędzone i tłumy gapiów podziwiających amazonki, linoskoczki cyrkowe o imponujących muskułach — oto jego tematy. Jarosz stał się mistrzem i piewcą tego arcyciekawego światka.

Wybiera znamienne rysy dla przelania ich na płótno mocnym chwytem, nie dbając zbytnio o drobniejsze szczegóły. Unika tak samo pobieżnego szkicowania, jak i finezji wymuskanej. Obraz buduje, jako zwartą całość plastyczną w oryginalnem oświetleniu. Dzięki zaletom kompozycji grupy i sylwetki występują tu z całą wymową charakterystyki w ruchu.

Gorsze są jego pejzaże, cokolwiek za suche i chropowate w swej lapidarnej ścisłości mas i konturów. Ciekawą natomiast odbył ewolucję w „aktach". Znać naprzód borykanie się wybitnie męskiej natury z nałogiem operowania jaskrawemi kontrastami tonów i rysów. Stopniowo twardy jego pędzel wczuwa się w rytm harmonijny nagiego ciała, nabiera elastyczności i płynnych odcieni.

Jarosz należy do generacji, która padła ofiarą wojny. Odrywając go od studjów, krwawy Moloch podkopał jego zdrowie i siły, które nagle zawiodły w chwili, gdy zbliżał się do pełni rozwoju swego oryginalnego talentu.

E. Woroniecki

Do niniejszego numeru „Świata" dodajemy abonentom

ostatnią powieść modnej dziś i popularnej we Francji pisarki Marcelle Vioux:

p. t. **„BRUTAL"**
(„LE REQUIN")

Jest to niezwykle silny i plastyczny obraz życia nouveaux-riches'ów.

Zwykły chłop sabaudzki, zajmujący się sprzedażą bydła, człowiek o niesłychanej energji, ale nieprzebierający w środkach, dochodzi do olbrzymiego majątku i staje się potentatem Paryża.

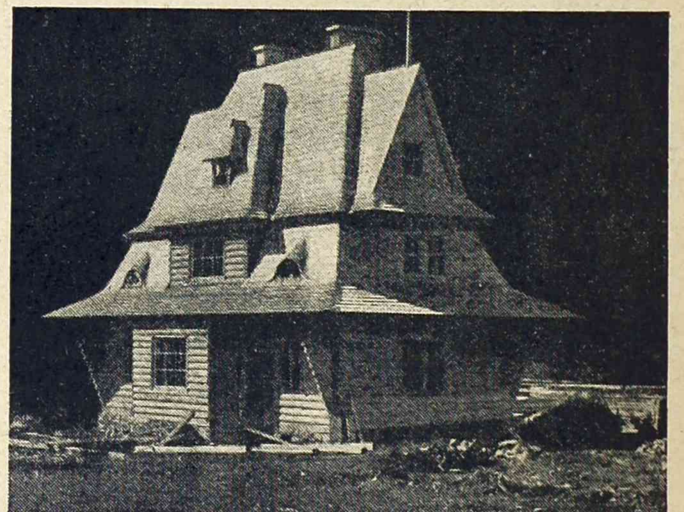
Jest to jedna z najciekawszych powieści, jakie ukazały się ostatnio na półkach księgarskich we Francji.

Przekład polski p. Heleny Hellerówny.



JADZIA KRUKOWSKA LAT 8. OTRZYMAŁA II-GĄ NAGRODĘ NA KONKURSIE FOTOGENICZNOŚCI DZIECI W PARKU UJAZDOWSKIM DN. 11 WRZEŚNIA R. B.

Nowe schronisko turystyczne



SCHRONISKO TURYSTYCZNE ODDZ. LWOWSKIEGO POL. TOW. TATRZAŃSKIEGO PRZY KLAUZIE RZEKI SWICY (GORGANY), POŚWIĘCONE 16 PAŹDZIERNIKA R. B.

Fot. prof. A. Lenkiewicz

Rozwiązanie zadań z №№ 35-go i 36-go

№ 59 (162) TEATR W REBUSACH: „Sędziowie" Wyspiańskiego, „Sztuba" Leczyckiego („Szkoła" Kaweckiego), „Fortepjan" Szaniawskiego, „Przeprowadzka" Rostworowskiego, „Walka" Krzywoszewskiego, „Uśmiech losu" Perzyńskiego.

№ 60 (163) PRÓBA DOMYŚLNOŚCI: Zadanie to dawało nielada sposobność do dociekań, a trafne rozwiązanie ponoć znaczną sprawiało trudność. Z tego też względu zamiast zapowiedzianych 6-ciu zaliczamy za nie 9 punktów do klasyfikacji kwartalnej — 3 za trafne wskazanie zawodu każdego z podróżnych. Celowo poplątane urywki charakterystyk zupełnie wystarczająco pozwalały na określenie, że i pan Andrzej jest nauczycielem, pan Benedykt — lekarzem, a pan Cezary — wojskowym.

Trafne rozwiązania nadesłali:

pp. Aleksandrowicz Jan (15) — ze Lwowa, Bernatowicz Zygmunt (8)—z Milanówka, Bieliński Mieczysław (3) — z Kowla, Blumowa Ludwika (9)—ze Strzemieszyc, Borkowska Zofja (5) — z Kutna, Bugajska Marja (15) — z Kłobucka, Cywińska Stefanja (9) — z Łomży, Choromański Józef (11) z Tarnopola, Cukierbraum B. (9)—z Raczek, Czarnocka Wanda (9) — z Płocka, Domański Roman (7) — z Płocka, Dorszewski Rudolf (15) — ze Świecia, Faliński Roman (9) — z Końskich, Głaziński Aleksander (9) — z Mińska Mazowieckiego, Grodzicki Józef (9) — z Brześcia n/B., Horzelski Wincenty (8) — ze Stanisławowa, Izdebski Ryszard (3)—z Sandomierza, Jackowski Leon (13) — z Piotrkowa Tryb., Janicka Zofja (15) — z Grudziądza, Kamiński Władysław (15) — z Sochaczewa, Kiersnowski Józef (13) — z Baranowicz, Kolisko Mieczysław (14) — z Brześcia n/B., Kotowska Emilja (9) — z Poznania, Koziński Michał (6) — ze Skierniewic, kpt. Kraiński Józef (14) — z Krakowa, Krasucka Zofja (10) — z Zawiercia, inż. Krudysz Jan (14) — z Cieszyna, Krupińska Aniela (7)—z Łodzi, Kunicki Ignacy (3) — z Lublina, Kurchowa Jadwiga (8) — z Cukrowni „Dobrzelin", Lemański Zygmunt (14) — z Wilna, Ludwicki Henryk (8) — z Zagożdżona, Łukasiewicz Michał (13) — z Białegostoku, Malinowski Stefan (9) — ze Lwowa, Misiewicz Karol (6)—z Cieszyna, inż. Modrzejewski (5) — z Lublina, Morawski Janusz (15) — z Bielska, Olszewska Irena (3) — z Dęblina, Orzechowska Wanda (9) — z Otwocka, Pawiński Konstanty (9) — z Ostrołęki, Pieracki Zygmunt (10) — z Wilna, Przypkowski Wacław (7) — z Kobyłki, Rakowiecka Helena (15) — z Lublina, Rusicka Anna (9) — z Krakowa, Sawicka Karolina (8) — z Białegostoku, Sieklucka Regina (14) — z maj. Emilucyn, Skupińska Marta (14) — z Zamościa, Sołecki Michał (14) — z Wołomina, Sosnowski Kazimierz (15) — z Katowic, Szeliga Barbara (14) — z Siedlec, Świerkowska Kazimiera (15)—z Chełma, Tarnowski Władysław (7) — z Grodziska, Tobias Henryk (15) — z Kielc, „Tolek z Królewszczyzny" (9), Tyblewski Wacław (9) — z Poznania, Wróblewska Janina (9) — z Cukrowni „Marja" w Sójkach, Wysocka Ludwika (6) — z Dublina, Zaleski Czesław (9) — z Kalisza, Zelcer Adam (14) — ze Lwowa, Życzyński Bohdan (7) — z Nowogródka,

oraz następujący Czytelnicy z Warszawy:

pp. Albowin Jerzy (14), Byszewski Edward (5), Boguszewska Irena (5), Ceglińska Zofja (7), Dębowska Adolfa (12), Herbstmanówna Dorota (15), Klimczak Roman (9), Kowalska Jawna (15), Kozłowski N. Kazimierz (9), Kretkowski Teodor (7), Łopatto Jerzy (15), Łuniewska Helena (6), Niemczyński Roman (14), Nowicka Emilja (9), Oborski Karol (9), Poraziński Ryszard (10), Rogalski Stanisław (7), Rzeczkowski Aleksander (15), Silczyński Władysław (14), Sławnicki Michał (15), Słowikowska Dorota (14), Tietz Zygmunt (15), Uklański Marjan (9), Wiśniewska Teofila (9), Wiśniewski Kazimierz (15), Zborowska Teresa (9), Żukowska Irena (8).

NAGRODY książkowe przypadły w udziale:

p. *Annie Rusickiej* z Krakowa,
p. *Stefanowi Malinowskiemu* ze Lwowa,
p. *Wincentemu Horzelskiemu* ze Stanisławowa.

Zbyteczne byłoby wyjaśniać, na jakie trudności naraża nas niepunktualna opłata prenumeraty. Walczymy narówni ze wszystkiemi wydawnictwami polskiemi z brakiem dostatecznego kapitału obrotowego, a każde opóźnienienie wpływów czyni tę walkę cięższą. Dlatego też usilnie prosimy Sz. Prenumeratorów, którzy zalegają z opłatą prenumeraty, o przekazanie nam odwrotną pocztą (P. K. O. 3755) zaległości, narażą się bowiem w przeciwnym razie na wstrzymanie wysyłki najbliższych numerów „Świata" i tomu powieści. Przypominamy, że prenumerata winna być opłacana zgóry najpóźniej 5-go dnia danego miesiąca.

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa.